

STAŁO SIĘ, JUTRO opowiada fantastycznych zbir i czternasty

## CEREBROSKOP

Konrad Fialkowski — Cerebroskop  
— Szansa śmierci  
— Wroble galaktyki  
— Strażnik



Stało się jutro

Cerebroskop

Opowiadań fantastycznych zbiór  
czternasty

*Konrad Fiałkowski*

# Cerebroskop

Historia zaczęła się, gdy profesor Pat wrócił z układu Syriusza. Zaraz po powrocie rozpoczął wykłady z elementów cybernetyki na naszym kursie. Był to mały człowieczek z kruczoczarną, krótko przystrzyżoną czupryną, miotający się z niespożytą energią przed pulpitami wideotronów. Z Syriusza przywiózł czarną emulsję ochronną na swych gałkach ocznych i nie

usunął jej na Ziemi, tak że twarz jego była trochę bez wyrazu, jak twarze androidów. Na Syriuszu emulsja ta chroniła wzrok od ultrafioletowego promieniowania tej gwiazdy, na Ziemi nie miała oczywiście żadnego zastosowania i była nieco szokującym uzupełnieniem twarzy profesora. Oprócz tego Pat przywiózł diotona, okaz tamtejszej fauny. Hodował go w ogromnym, przezroczystym, wypełnionym amoniakiem kloszu, zajmującym połowę gabinetu. Dioton unosił się zwykle nieruchomo pod sklepieniem więzienia, przypominając wielki sinoczerwony liść. To właśnie odróżniało gabinet Pata od dziesiątków innych gabinetów, odwiedzanych przez

nas w różnych okolicznościach podczas studiów. Lecz profesor stał się powszechnie znaną postacią z innego zgoła powodu. Mianowicie, przywiózł z Syriusza nową metodę egzaminowania studentów. Sposób genialny i bezwzględnie obiektywny, jak twierdził sam Pat; ponure nieporozumienie, zdaniem studentów.

— Moi drodzy — powiedział nam profesor na swym inauguracyjnym wykładzie — w naszej pracy nie jest istotne, co się pamięta, od tego są mnemotrony i inne akumulatory informacji. Ważny jest sposób myślenia. To i tylko to zadecyduje o waszych osiągnięciach w przyszłości. Dotychczas, niestety, sprawdzane były

tylko wasze wiadomości. A do czego to prowadziło? Do bezkrytycznej wiary w wyniki podawane przez automaty. Do braku chęci, a nawet możliwości analizy tych wyników. Znany jest wam zapewne eksperyment docenta Ramtona, przeprowadzony na stu waszych kolegach, którym dano do rozwiązania proste, pamięciowe niemal zadanie na celowo błędnie wysterowanym automacie. Co się wtedy okazało? Dziewięćdziesięciu sześciu nie zauważyło w ogóle pomyłki, trzech stwierdziło, że gdzieś w obliczeniach jest błąd, lecz tylko jeden „podał prawidłową odpowiedź, zapytując o nią umieszczony obok automat, który przez pomyłkę zapomniano wyłączyć z sieci.

Nie wierzę, abyście wy, semantycy programujący skomplikowane układy myślące, tego nie potrafili. Punkt ciężkości zagadnienia leży gdzie indziej. Ten stan rzeczy to nie wasza wina. Przez szereg lat przyzwyczajano was do tego, że między pamiętaniem a znajomością zagadnienia nie ma żadnej różnicy. Lecz to wynikało tylko z niemożliwości rozgraniczenia tych dwu rzeczy. Egzaminator nie mógł przeniknąć do waszych głów i stwierdzić, kto z was umie, a kto pamięta. I tu, na tym konserwatywnym globie, gdzie tradycja hamuje niemal wszelki postęp, wszyscy się z takim stanem rzeczy pogodzili. Ale świeży powiew myśli, jak wielokrotnie w historii, przybył z zewnątrz... — tu



chwilę zawiesił głos — tak, właśnie z układu Syriusza. W wyniku wieloletnich prób wynaleziono tam automat — cerebroskop. Urządzenie to odczytuje myśli egzaminowanego, analizując prądy czynnościowe jego mózgu, wynikłe z pobudzenia pytaniem egzaminatora. Następnie porównuje otrzymany odczyt z informacją z mnmotronów. W wyniku tego ocena jest stuprocentowo obiektywna i bezbłędna. Cały proces zostaje zapisany w pamięci cerebroskopu i może być przedstawiony graficznie jako cerebrogram. Przykładowo pokażę wam taki zapis.

Przyćmił światła, i ekran wideotronu, zajmujący całą niemal przestrzeń nad głową Pata, zajaśniał

szarą poświatą. Pośrodku pojawiła się czarna, jednostajna linia. Automat nie odbierał widocznie żadnych impulsów

— Nic nie widać — odezwały się głosy z tyłu audytorium.

Pat chciał coś odpowiedzieć, lecz uprzedził go tubalny szept z przodu:

— Przecież to wykres pracy mózgów twórców cerebroskopu.

Audytorium ryknęło śmiechem. Zanim się uspokoiło, na ekranie krzywa sfałdowała się i ostrymi szczytami podniosła do góry.

— Jest to cerebrogram bardzo przeciętnego osobnika. Bywają o amplitudzie trzy lub czterokrotnie większej — objaśnił Pat, gdy się tylko dostatecznie uciszyło na sali.

— Nasz kurs nie spali bezpieczników automatu...

Tym razem Pan śmiał się także.

Śmiejąc się powitaliśmy to urządzenie na naszej uczelni, chociaż już wtedy podejrzewaliśmy pewne kłopoty w przyszłości, lecz to, co działo się przy egzaminach, przeszło najbardziej pesymistyczne prognozy.

— Bracie — opowiadał mi Kew, mały, rudy Australijczyk, który zgnębiony po oblanym egzaminie, przez dwa dni latał rakieta wokół Ziemi po wydłużonej elipsie. — ...Bracie, przychodzisz, a tu dwu asystentów Pata łapie cię za ręce i ani się obejrzysz, a już siedzisz w kabinie. Na głowę nakładają ci hełm. Ciasno, ruszyć się nie

można, wszędzie wystają przewody, bo ten cerebroskop to przecież prowizorka. Śmierdzi rozgrzaną izolacją, gdzieś nad uchem stukają ci przekaźniki, i klimatyzacja od czasu do czasu dmucha w nos żywicznym powietrzem. Założyli ją, bo zgodnie z przepisami bezpieczeństwa i higieny nauki, bez tego egzaminu urządzać nie wolno. Potem Pat mówi: „Uwaga...” Patrzysz się jemu w gębę z tymi czarnymi oczyma wprost przed tobą w ekranie, a on dwa razy powtarza: „Zadam teraz pytanie i po ostatnim słowie włączam automat”.

Przez cały czas przed nosem pali ci się zielone światło, a gdy skończysz mówić, zapala się czerwone. Zaczynasz wtedy myśleć o wszystkim, co wiesz na

temat pytania, i to jak najlogiczniej. Potem, gdy już o wszystkim pomyślałeś, naciskasz klawisz z napisem „Koniec”, i wyciągają cię z kabiny. Uważaj tylko, żebyś dobry klawisz nacisnął, bo Rim się pomylił i kopnęło go dwieście wolt. Wiadomo... prowizorka... a jak pomyślisz przypadkiem, że nic nie wiesz, tak z pierwszej emocji, to, żebyś nawet coś wiedział, automat wyłącza się i koniec. Pat prosi następnego. „Odpowiadacie za swoje myśli” — mówi przy tym.

Z zespołu Kewa zdało tylko kilku. Najlepiej ci, którzy nauczyli się całego przebiegu rozumowania na pamięć. Byli tacy, co myśleli sami. Wtedy automat brzęczał, mrugał światłami, opóźniał,

jakby się nad czymś zastanawiał, aż wreszcie z wysiłkiem podawał wynik, nie zawsze pozytywny. Pat twierdził, że przy bardziej skomplikowanych zagadnieniach ma trudności z kojarzeniem.

— Starajcie się myśleć po prostu, jak najprzystępniej, jakbyście problem tłumaczyli na przykład poecie, który nawet analizę matematyczną zapomniał.

— Tak, ale poeta mimo wszystko może nic nie zrozumieć.

— Dobrze, dobrze, ale przecież cerebroskop to nie żaden poeta, tylko porządny automat. Dobrze wytłumaczcie, to na pewno zrozumie.

Tak więc jedni widać tłumaczyli dobrze, inni źle. Ja na wszelki wypadek

postanowiłem cerebroskopowi na razie nie tłumaczyć i poczekać z egzaminem do jesieni. Tym bardziej, że pogoda była piękna i wolałem łapać wiatr w żagiel na jeziorze, niż minimalnie zwiększać prawdopodobieństwo zdania egzaminu, ślęcząc nad ekranami w chłodnym zaciszu bibliotek. Podobnie myślał Tor. Mieszkaliśmy we trzech w słonecznym pokoju na dwunastym piętrze szarego wieżowca. Okna nasze wychodziły na jezioro spiętrzone szarym łukiem tamy. Tam właśnie w podmuchach wiatru przesuwały się na tle zielonych wzgórz żagle.

Wan, ostatni z naszej trójki, twierdził, iż widok ten przeszkadza mu

w myśleniu, i włączył pole rozpraszające światło w oknach, a wtedy odnosiliśmy wrażenie, że nagle nadpłynął biały obłok i otoczył nasz wieżowiec.

Faktem jest, że Wan rzeczywiście intensywnie myślał. Nie kto inny, tylko on właśnie wymyślił metodę wygaszania fal asystentów podczas ćwiczeń w próżni ponad atmosferą i nadawania w ich imieniu bardziej pochlebnych opinii o nas do automatów sumujących. On właśnie tak zręcznie zakłócał pralce analizatora kontrolnego w czasie egzaminów, że nim automat po wielu pomyłkach podawał wreszcie prawdziwy wynik, był on już sprawdzony dwukrotnie przez nasze



podręczne automaty.

Gdy wieczorem, nagrany słońcem, wróciłem do pokoju, Tor męczył automat monotonnym pytaniem „kocha”, „nie kocha”, wyciągając coraz to nowe aspekty. Automat był wyraźnie przeciążony i palił czerwone światło alarmu, co zresztą bynajmniej nie zrażało Tora. Wan leżał na łóżku z zamkniętymi oczyma i rękoma pod głową. Okna pokoju matowiały bielą.

Chciałem się właśnie zabrać do oglądania ostatnich wydarzeń w wizotronii, gdy nagle Wan zerwał się z łóżka:

— Mam, znalazłem...!

Spojrzałem ku niemu, a Tor z wahaniem wyłączył automat.

— Pytanie pierwsze — głos Wana brzmiał uroczyście. — Czy zdacie egzamin u Pata?

— Nie — odpowiedziałem.

— Chyba nie — powtórzył Tor.

— Zero dla obu — zawyrokował Wan w stylu cerebroskopu. — Właśnie że zdacie.

Tor wzruszył ramionami. Chciałem o coś zapytać Wana, ale nie dał mi dojść do słowa.

— Nie przeszkadzaj. Pytanie drugie. Jak długo będziecie się musieli uczyć?

— Minimum dwa tygodnie — odpowiedział po chwili Tor.

Skinąłem głową.

— Znowu zero. Ani chwili.

— Dobrze, ale jak...

— Czekał. Pytanie trzecie. Jak nazwalibyście człowieka, który by wam powiedział, jak to zrobić?

— Geniuszem.

— Obrońcą uciśnionych.

— Jeden — stwierdził Wan. — Tym człowiekiem jestem ja. Należy mi tytuły wypisać drukowanymi literami na werbografie i powieście nad moim łóżkiem. Otóż idea jest tak prosta, że aż dziwię się, iż nikt na to poprzednio nie wpadł. Zastanawialiście się, z czym cerebroskop porównuje uzyskane od nas informacje?... z wiadomościami nadchodzącymi z mnemotronów. Wystarczy więc podłączyć się do falowodu, zebrać informacje i przekazać je na urządzenie nadawcze o mocy

naszego mózgu. Zostaną one zarejestrowane jako odpowiedź na problem. Jeśli sam w tym czasie nie będziesz myślał, odpowiedź będzie stuprocentowo trafna. I co wy na to?

— Pomysł doskonały, ale do realizacji potrzebna jest przecież znajomość budowy cerebroskopu. Skąd się tego dowiesz? Przecież w żadnym z naszych mnemotronów nie ma nawet wzmianki na ten temat.

— To jest raczej trudność techniczna, nie umniejszająca wielkości idei...

— Trzeba ją jednak rozwiązać.

— Pomyślałem o tym. Budowę automatu poznamy w czasie dyżuru Maxa.

— Ależ on nie pozwala nawet zbliżyć się do urządzenia. Chodźmy tam lepiej podczas dyżuru innego asystenta.

— Pozwoli. Ty, Tor, pójdziesz do niego z tymi średniowiecznymi papierkami, znaczkami, tak to się, bodajże, nazywa. Max przepada wprost za nimi. Możesz mu nawet dać kilka z nich. Chodzi o to, żeby nam nie przeszkadzał podczas oglądania aparatury.

— No tak, ale...

— Żadnych ale. Musisz dla dobra ogółu poskromić swą dziwną namiętność do naklejania papierków.

To przekreślało dalszą dyskusję. Do Maxa poszliśmy następnego dnia.

— Co, nie widzieliście jeszcze

cerebroskopu? Nie martwcie się, zobaczycie go jeszcze — zaśmiał się zgrzytliwym śmiechem. To było powitanie.

— Widzieliśmy. Nic takiego rewelacyjnego. Trochę przewodów i krzesło pod hełmem. A z bliska obejrzymy go sobie przy najbliższej rozmowie z Patem — rozpoczął Wan.

— A obejrzyjcie, obejrzyjcie — Max zaśmiał się, tym razem już naprawdę nie wiadomo z czego.

Wobec tak doskonale rozwijającej się konwersacji, Wan przystąpił do istoty rzeczy.

— Kolega — tu wskazał na Tora — dostał właśnie z Europy kilka znaczków. Nie wie tylko, z jakiego okresu

pochodzą...

— Tak, pokażcie je... — po raz pierwszy ujrzałem na twarzy Maxa coś w rodzaju wzruszenia.

Wan popchnął Tora, który z ociąganiem postąpił ku Maxowi. Ruchem pełnym determinacji wyciągnął album. Max chwycił go, otworzył...

— O, ładne znaczki, bardzo ładne znaczki — słowo „znaczki” przeciągał z lubością. — Na przykład ten brunatny. Dzieło sztuki, no nie? — zwrócił się do nas.

— Oczywiście! — krzyknęliśmy w dwugłosie.

Tor przygnębiony milczał.

— Wspaniałe dzieła starożytnych mistrzów... — mówił Max, popadając

w coraz większy zachwyty.

Był już na trzeciej stronie. Zostawiliśmy go pochylonego nad wspaniałymi trójkątami z grzybami i podeszliśmy z Wanem do cerebroskopu.

Właz do kabiny był uchylony. Wsadziłem głowę do środka. Krzeselko, hełm, jakieś przełączniki, klawisze, wygaszone światła kontrolne.

— Gdzieś tu musi być schemat — szepnął Wan schylając się, by zajrzeć pod krzeselko. — Nie widzę. Tu jest jakaś tablica z gniazdkami. O, jest! — odchylił oparcie siedzenia, pod którym fosforyzował schemat. Przyglądaliśmy się mu obaj w milczeniu.

— Tu, widzisz — palcem wskazałem miejsce na schemacie —



należałoby podłączyć przewód.

— Zgoda, ale gdzie to może być w kabinie?

— Nie wiem... Chociaż popatrz. Tu jest centralny dzielnik impulsów. Podłączenie musi być zaraz za nim.

— Dzielnik impulsów masz tutaj — Wan wskazał paraboloidalną bryłę, opalizującą w przyćmionym świetle w głębi pod siedzeniem krzeselka.

— W takim razie podłączymy się chyba tu — dotknąłem płyty z szachownicą włącz.

Nasze przypuszczenia okazały się trafne. W kilkanaście minut sprawdziliśmy wszystko

— Pamiętaj: drugie gniazdko, trzeci rząd, i trzecie gniazdko, piąty rząd.

Tylko ich nie pomył!

— Drugie gniazdko, trzeci rząd, trzecie gniazdko, piąty rząd — powtórzyłem.

— Doskonale. Chodźmy już, w przeciwnym razie dorobek życia Tora stanie się własnością Maxa.

Niepostrzeżenie stanęliśmy za nimi. Trójkąty zmieniły już właściciela i właśnie Max przekonywał Tora o bezsprzecznej wyższości rombów, które Tor miał otrzymać w zamian.

— A może byśmy tak obejrzeli cerebroskop — niespodziewanie z tyłu odezwał się Wan.

Max zamilkł natychmiast i z wolna odwrócił głowę. Patrzył chwilę na Wana.

— Nie, nie można.... — powiedział to dziwnie normalnym głosem. Przerwał, milczał chwilę, a potem zwrócił się do Tora: — Weź te trójkąty. Obawiam się, że nie mógłbym znaleźć rombów takich, żeby ci się podobały — powiedział to zupełnie cicho.

Tor aż zarumienił się z radości i zaczął ostrożnie przekładać odzyskane trójkąty z powrotem do swego albumu.

— A teraz idźcie stąd — Max powiedział to stanowczo.

W milczeniu opuściliśmy laboratorium. Wyszliśmy na kamienne schody przed gmachem. Nagrzane czerwcowym słońcem, promieniowały żarem upalnego południa.

— Pójdziemy chyba na przystań —

zapropnowałem.

— Nie, pójdziemy do laboratorium podręcznego przygotować prototyp „negcerebroskopu”, jak proponuję nazwać nasz wynalazek.

Poszliśmy do laboratorium i rozpoczęliśmy ciężką pracę. Ciemna głowa Tora tkwiła nieruchomo, pochylona nad ekranami trzech mnemotronów. Wan i ja pracowaliśmy z automatycznym konstruktorem. Podaliśmy warunki ograniczające. Przede wszystkim „negcerebroskop” musiał być tak płaski, by można go było umieścić na elastycznym podkładzie i przypiąć do pleców.

— Rozumiesz, nie może go być w ogóle widać. Jeśli będzie ci coś na

plecach wystawało, nie powiesz przecież, że to garb, który ci wyrósł w czasie przygotowywania się do egzaminu... — uzasadniał Wan pierwsze ograniczenie.

Mieliśmy również trochę kłopotu z zasilaniem urządzenia. Proponowałem akumulator w butle, jednakże zwyciężył projekt Tora — zasilanie układu kosztem cerebroskopu. Ostatecznie na dzień przed egzaminem wszystko było gotowe. Automat nie ważył wiele. Uciskał tylko w łopatki. Z kieszeni wychodziły dwie pary przewodów, które należało włożyć do odpowiednich gniazdek. Ustaliliśmy, że pierwszy zdaje Wan.

Egzamin zaczynał się o dziewiątej.

Po ósmej przyszli pierwsi studenci. Ich stalowoszare kombinezony kontrastowały z bladymi, zmęczonymi twarzami. Na ich tle Wan promieniał wprost optymizmem i dobrym samopoczuciem.

— Wan, co się tobie dzisiaj stało? Dostałeś list z Księżyca czy co? — Al, potężny chłopak rodem z Grenlandii, podszedł do Wana i podniósł rękę, by go przyjacielsko klepnąć w plecy.

— Chwileczkę — Wan powstrzymał jego rękę. — W dniu tak uroczystym głaszcz się mnie po głowie.

Zauważyłem zdziwiony wzrok Ala. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, zrezygnował jednak i odszedł swym niedźwiedzim, lekko

kołyszącym się krokiem.

Kilka minut przed dziewiątą przyszedł, a właściwie wpadł jak zwykle z impetem — Pat. Za nim wyciągając nogi spieszyli Max i jeszcze dwu asystentów. Otworzyli laboratorium, a tymczasem Pat liczył nas, wskazując kolejno każdego palcem.

— Hm... siedemnastu... to do dwunastej powinniśmy skończyć. Czy wiecie — dodał z entuzjazmem — że istnieje projekt, by cerebroskopy stosować przy wszystkich egzaminach? Wspaniale, nie? — z tym okrzykiem zniknął za drzwiami laboratorium.

— Jak dla kogo. Chyba nie mam już szans na skończenie studiów. Z tymi automatami nie dam sobie rady — Kor,

mówiąc te słowa, miał minę beznadziejnie smutną.

— Trzeba się uczyć. Jak się umie, to się zda...

Kor spojrział z niechęcią na Wana.

— Nie potrafię całymi nocami wkuwać wyprowadzeń na pamięć. Ty rzeczywiście masz teraz duże szansę?

— Oczywiście. Jestem za jak najszerszym wprowadzeniem cerebroskopu. Pomyślcie, jakie perspektywy otwierają się przed nami. W przyszłości każdy student będzie miał dla siebie cerebroskop i będzie mógł, po zapoznaniu się z jakimkolwiek problemem, natychmiast sprawdzić, czy opanował go w stopniu umożliwiającym wyzyskanie go w praktyce...



— Jeśli cerebroskopy zostaną udoskonalone, będzie to idealny sposób uczenia się, ale teraz? Chyba nie mówisz poważnie, Wan, że powszechne wprowadzenie cerebroskopu jest słuszne...

Powiedział to mały, blady, piegowaty chłopaczek, jeden ze zdolniejszych na naszym kursie. Wan chciał coś odpowiedzieć, ale uśmiechnął się tylko, bo nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich Pat:

— Proszę, proszę bardzo do środka — wykonał zapraszający ruch ręką. — Będziecie patrzeć, jak myślą wasi koledzy.

Weszliśmy. Automat już pracował na biegu jałowym, rzucając na ekran

jednostajną poziomą linię.

— Proszę, kto pierwszy do środka?  
— dalej zapraszał Pat.

Chwilę staliśmy niezdecydowani. Wreszcie wystąpił Zoo. Po chwili siedział już w kabinie. Pat powtarzał sakramentalne reguły i wreszcie zadał pytanie:

— Jaki jest odpowiednik impulsu jednostkowego w sumie homofilarnej?

Po zadaniu pytania Pat nacisnął klawisz i krzywe wystartowały. Zoo zgodnie z instrukcją nic nie mówił, w myśli rozwiązując problem. Światła zapalały się i gasły. Krzywe wiły się leniwie. Przez kilka minut panowała zupełna cisza. Szczękały tylko przerzucane przełączniki. Przez

przeźroczysty wykrój kabiny  
widzieliśmy twarz Zoo. Zamknął oczy i  
myślał z wysiłkiem. Czasem tylko  
nieznacznie poruszał wargami, jakby coś  
szeptał do automatu. Wreszcie wolnym  
ruchem wyciągnął rękę i zatrzymał  
automat. Pat postawił następne pytanie,  
potem jeszcze jedno. Wreszcie Zoo, z  
kroplami potu na czole, wyszedł z  
kabiny.

— Otrzymałeś dostateczny, ale  
minimalną ilość punktów — stwierdził  
Pat po odczytaniu wyników. — Jak on  
tam odpowiadał? — zwrócił się do  
Maxa. — Ze swego miejsca widzisz,  
które informacje nadchodzące z  
mnemotronu są zgodne z jego  
wypowiedziami.

— Wydaje mi się, że odpowiadał nieźle — zawyrokował Max po krótkim namyśle.

— No więc masz trzy... — powtórzył Pat.

Zoo odwrócił się nagle i wyszedł, nie żegnając się z nikim.

Następny zdawał Wiber. Po drugim pytaniu wyskoczył z kabiny.

— Przepraszam, ale nie będę zdawał w tym automacie. To niesprawiedliwe. On analizuje myśli, których nigdy bym nie wypowiedział...

— Kolego, uspokójcie się. Jesteście zdenerwowani — Pat przemawiał do Wibera tak, jak mówi się do chorego.

— Profesorze, pod pewnym względem Wiber ma rację — Max

przerwał Patowi. — Podłączony do analizatora, widzę przecież jego myśli. Człowiek nie jest w stanie idealnie skupić się na temacie.

Istnieją zawsze myśli uboczne, czasem nie nadające się do publikacji ze względu na bliźnich — Max urwał i zaśmiał się skrzekliwie.

Pat spojrział na niego, lecz cokolwiek wyrażały jego oczy pod osłoną emulsji, twarz pozostała niezmieniona. Potem odwrócił się do Wibera.

— Proszę do środka, będziemy kończyć egzamin.

— Nie będę zdawał w tym automacie.

— Kolejo, naprawdę uspokójcie się

i przyjdźcie na końcu albo jutro... Kto następny? — zwrócił się do nas, kończąc tym samym dyskusję.

Wtedy wystąpił Wan. Zniknął w kabinie. Pat powiedział to, co zwykle, a potem zadał pytanie. I wtedy zaczęło się.

Światła zapłonęły, przygasły. Krzywe rozpedziły się na ekranach, zmieniając błyskawicznie kształty. Nie zdążyliśmy ochłonąć ze zdumienia, gdy zamarły w bezruchu. Odpowiedź była skończona.

Pat stał długą chwilę, wpatrując się z niedowierzaniem w ekrany, wreszcie podjął decyzję i zadał następne pytanie. Znowu pomknęły krzywe i wynik pojawił się po kilkunastu sekundach. Pat skoczył ku kabinie. Bałem się, czy Wan

zdażył odłączyć się od cerebroskopu.

— Kolego, jesteście geniuszem! —  
zawyrokował Pat z emfazą. Wana  
skromnie spuścił oczy. — Nie  
widziałem nigdy nic podobnego ani na  
Syriuszu, ani na Ziemi. Nigdy nie  
przypuszczałem, że wśród moich  
studentów kryje się taki demon myśli.

Oprócz nas dwu wszyscy patrzyli na  
Wana ze zdumieniem pomieszanym z  
odrobiną lęku.

— Niewiarygodne — powtarzał Pat.  
— Czegoś ty dotychczas dokonał,  
człowieku!

— Nic... zdobywałem wiedzę.

— To prawda, że i Einstein na  
politechnice nie błyszczał... ale taki  
umysł, jak twój... Nie do wiary!

Wan zawahał się.

— Przepraszam, profesorze, to był dla mnie kolosalny wysiłek myślowy. Czy... zdałem?

— Oczywiście, bardzo dobrze. Niemal maksymalna ilość punktów.

— Czy mógłbym w takim razie odejść? Chciałbym chwilę odpocząć.

— Ależ oczywiście, idź. Należy oszczędzać tak wspaniałą instrument, jakim jest twój mózg.

Wyszedłem z Wanem. W drzwiach słyszałem jeszcze słowa profesora:

— ...no i widzicie. Cerebroskop może służyć również do odkrywania geniuszy.

Zacząłem się zastanawiać, co będzie, jeśli trzech geniuszy myśli



zostanie odkrytych na jednym egzaminie. Ale odpowiadać musiałem. Nie miałem wyboru. Zresztą wypadki potoczyły się szybko. Wan ubrał mnie w „negcerebroskop” i wszedłem powtórnie do laboratorium. Stanowczo za bardzo się denerwowałem. Czułem, że moje kolana są jak z waty, w myśli nieustannie powtarzałem „drugie gniazdko, trzeci rząd, trzecie gniazdko, piąty rząd”. Niby przez mgłę słyszałem, jak zdawał Al, jak Pat bez przerwy rozwodził się nad geniuszem Wana. Wreszcie przyszła moja kolej. Wskoczyłem gwałtownie do kabiny, zatrzasnąłem właz, wyjąłem wtyczki z kieszeni i nagle zrozumiałem, że nie przypominę sobie numerów gniazdek.

Zrobiło mi się gorąco. Za chwilę padnie pierwsze pytanie. Jeszcze chwila. Nic nie mogę sobie przypomnieć. To chyba było drugie gniazdko, trzeci i rząd i trzecie gniazdko, czwarty rząd. Tak, chyba tak, zresztą nic innego nie wymyślę. Jak najszybciej włożyłem wtyczki w gniazdko, rozparłem się w fotelu i wdychając żywiczne powietrze, westchnąłem z ulgą. Teraz odpowiedź przyjdzie sama, tylko nie można o niczym myśleć.

Pat monotonicznie powtarzał swoje formuły. Nie słuchałem nawet. Egzamin tak jakby już zdany. Dwa miesiące wakacji, woda, żagle... Wyobraziłem sobie jaskółki szybujące nad wodą, niemal dotykające jej powierzchni...

Nagle spostrzegłem, że pali się już światełko odpowiedzi. Chyba wszystko w porządku. Automat trząsał przełącznikami. Wtem wszystko ucichło. Przez przeźroczysty wykrój zobaczyłem, jak moi koledzy zataczają się ze śmiechu. Coś się stało. Wyskoczyłem z kabiny,

— ...to, że jaskółki są kręgowcami i w jaki sposób budują gniazda, to chyba nie semantyka — perorował Max.

Jeden Pat się nie śmiał. Milczał, czerwony z gniewu.

— Chyba automat uszkodzony — powiedziałem niepewnie.

— To geniusz Wana zniszczył cerebroskop — podsunął ktoś z boku.

— Przeciążył go widocznie — dodał

inny głos z głębokim przekonaniem.

— Na uszkodzonym automacie nie będziemy zdawać.

— Właściwie nie wiadomo, czy od początku dobrze działał... Ben umiał przecież zupełnie dobrze, a oblał...

Fala głosów podnosiła się z wolna. Pat stał teraz blady. Coraz więcej spojrzeń kierowało się ku niemu. Wreszcie przemówił:

— Bardzo was przepraszam. Oczywiście wszystkie oceny są anulowane. Nie można decydować o wiadomościach studentów na podstawie tak zawodnie działającego urządzenia — mówił cicho, beznamiętnie. Z jego dotychczasowej energii nie zostało nawet śladu. Stał sam na uboczu,

podczas gdy studenci ze śmiechem opuszczali salę.

— Kretyński geniuszu — powitał mnie Wan — wiesz, co zrobiłeś? Podłączyłeś się bezpośrednio do dyspozytorni cerebroskopu i sterowałeś go własnymi myślami. On wybierał informacje o zagadnieniach przez ciebie pomyślanych, a reszta szła tak, jak przewidywaliśmy. Powiedz szczerze, myślałeś o jaskółkach?

— Tak.

— To wyjaśnia wszystko. No, sądzę, że Pat nigdy nie wznowi swych prób po takiej kompromitacji — Wan zaśmiał się. — Zresztą zobaczymy.

Historia ta pozostała naszą

tajemnicą. Minęło od tego czasu już parę lat i dzisiaj kończymy studia. Na Wana ciągle jeszcze patrzą podejrzliwie i pokazują go pierwszorocznym.

— To ten, który myślał szybciej niż cerebroskop...

A Pat przez ostatnie lata egzaminuje tak jak inni, ale niedawno słyszałem, że sprowadza z układu Syriusza nowy udoskonalony model cerebroskopu. Nam on w każdym razie już nie grozi. Niech się martwią przyszłe pokolenia studentów.

*Konrad Fiałkowski*

# Szansa śmierci

— Proszę, niech wejdzie —  
powiedziałem do mego androida.

Android zniknął w matowym polu siłowym wejścia, a ja podszedłem do okna. Pociiłem na dłoniach ciepło Słońca, bo był lipiec i jeden z tych dni, w których pogodę zaplanowano bezchmurną. Tuż nad moją ręką spostrzegłem osę. Brzęczała, starając się



przedrzyć na zewnątrz przez pole siłowe zastępujące szybę. Co chwila zanurzała się w polu i odrzucana jak piłka, znowu próbowała szczęścia...

— Chciałeś się ze mną zobaczyć...

— powiedział, stając tuż za mną.

— Tak — odwróciłem się od okna i spojrzałem na niego z góry, bo był niższy ode mnie.

— Dziwisz się, że naprawdę jestem taki stary. Telewizofonia odmładza, a dotychczas widziałeś mnie tylko w ekranie.— Wyglądasz tak, jak się spodziewałem, właśnie dokładnie tak — powiedziałem, ale to nie była prawda.

— A ty jesteś Goer, kierownik Eksperymentu? —zapytał, jakby się chciał upewnić, że jestem tym, dla

którego tu przyleciał. Niewielu do nas przylatuje.

— Jestem Goer i chcę ci podziękować, żeś przybył.

— Ja też się wahałem, ale ostatecznie jestem tak stary — zaśmiał się bezgłośnie.

Potem spoważniał nagle i zapytał:

— Czy... czy to się zawsze udaje?

— To jest Eksperyment, i zresztą sama technologia jest okropnie skomplikowana.

— Tak, to musi być trudne. Przekazać wszystko, co się nawarstwiało tyle lat...

— Na ogół się udaje... A jeśli nie... no to powtarzamy Eksperyment — starałem się uśmiechnąć, ale chyba mi

się to nie udało.

— I później mnemokopie wysyłacie w próżnię?

Skinałem głową.

— I wracają?

— Nie. Po co miałyby wracać? To są automaty, zwykłe automaty... — Słowo „automaty” podkreśliłem celowo. — One badają Kosmos. A potem... potem są niepotrzebne... Zresztą, jak dotychczas, to jedyna możliwość eksploracji Kosmosu — dodałem.

Profesor zamyślił się chwilę, a potem zapytał:

— A moją kopię, bo to przecież będzie dokładnie moja kopia, dokąd wyślecie?

— Oczywiście, mnemokopia,

przynajmniej w chwili powstania, jest całkowicie równoważna twemu umysłowi. To tak jakby ktoś, kto jest drugim tobą, stanął obok ciebie, profesorze...

— No tak, ale to jednak będzie maszyna, automat...

— Na pewno.

— Widzisz, Geor, ja jestem tylko biofizykiem i na neuronice się nie znam, ale jak maszyna może myśleć tak jak ja? Przecież automaty...

— Ba, automaty! Ich mózgi są prymitywne w porównaniu z twoim.

— Są martwe...

— To nie o to chodzi. Myślenie samodzielne, twórcze myślenie jest zależne tylko od komplikacji sieci. A

czy ta sieć składa się z komórek jak twój mózg, czy z elementów nieorganicznych jak mnemokopia, to nie ma żadnego znaczenia... wierz mi, to nie ma naprawdę żadnego znaczenia...

— Hm... możliwe, muszę ci wierzyć. Ale nie mogę jakoś wyobrazić sobie tej... mnemokopii, która będzie mną... Mówisz, że to tak, jakbym ja wyszedł z siebie i stanął obok — zaśmiał się znowu tym swoim bezgłośnym śmiechem.

— Coś w tym sensie... — zgodziłem się.

— Ja jestem mały stary człowiek, którego każda część z osobna nie nadaje się do życia, a wszystko razem trzyma się jeszcze dzięki... dużej odchyłce od

stanu najbardziej prawdopodobnego w tym wieku... od śmierci. Dziwisz się? — dodał spojrzawszy na mnie. — Ja już mam sto dziesięć lat, Goer. Byłem profesorem, gdy ty się urodziłeś.

— Masz sto dziesięć lat...?

— Tak, Goer. I właśnie mnie proponujecie, żeby mój stary mózg powielił się w maszynę, żeby każda komórka znalazła swój organiczny odpowiednik, żeby każde połączenie istniejące w głębi mego mózgu zastąpił przewód w tej maszynie. Czy tak?

— Tak, wtedy ta maszyna będzie równoważna tobie, profesorze.

— Słowem, moja osobowość otrzyma nową piękną oprawę w postaci metalowych szaf, wypełnionych

kilometrami przewodów. Moim myśłom będzie towarzyszył szcęk przekaźników i zasilany będę prądem elektrycznym, przesyłanym z transformatorów energii zanurzonych w stosie. Czy nie sądzisz, że jest to niesamowite?

— Niesamowite?... Może. Z subiektywnego, twego punktu widzenia. Ale poza tym... Dla mnie na przykład byłoby zupełnie obojętne, czy rozmawiałbym z tobą, profesorze, czy z twoją mnemokopią.

— Z mnemokopią można więc rozmawiać...? Nie wiedziałem o tym. To może być interesujące, taka szczera rozmowa z samym sobą.

— Nie sądzę... Zresztą mnemokopia po transpozycji znajduje się jakby w

stanie snu.

— A potem uzyskuje świadomość, czy tak? — zapytał profesor.

— Tak, uzyskuje świadomość — odpowiedziałem.

Profesor przyglądał mi się przez chwilę z uwagą, a potem zapytał nieśmiało:

— A kiedy... ona się budzi? — przed słowem „budzi” zrobił dłuższą pauzę, jakby zastanawiając się, czy można go użyć, mówiąc o automacie.

— Budzi ją radiowy sygnał wysłany z Ziemi.

— I wtedy można z nią rozmawiać?

— Tak, ale wtedy jest już poza granicami Układu Słonecznego i przesłanie jednego zdania trwa kilka



godzin. A zresztą z mnemokopią nie prowadzi się rozmów.

— Dlaczego?

— ...

— Nie chcesz mi powiedzieć, dlaczego się z nimi nie rozmawia?

— Nie chcę.

— Czy... czy nie sądzisz, że mam prawo wiedzieć...?

— Jestem pewny, że nie masz. Nie od dzisiaj prowadzę Eksperyment i wiem dokładnie, co ci mogę powiedzieć. Musisz pamiętać, że wszystko to, co ty wiesz, wiedzieć będzie również twoja mnemokopia...

— To dlatego...

— Między innymi i dlatego.

Wiedziałem, że mały stary człowiek

jest speszony. Kręcił się na swym krześle, rzucając mi przepłoszone spojrzenia.

— Dokąd ona poleci, ta mnemokopia? — zdecydował się wreszcie zapytać.

— Do Antaresa A.

— Do Antaresa... To duża gwiazda?

— Ogromna, czerwony olbrzym.

— I ona ją zbada, naprawdę?

— Tak, ujrzy dalekie planety, księżyce, wokół nich krążące. Będzie to widzieć nie własnymi oczyma, bo mnemokopia oczu nie ma, a właściwie ma bardzo wiele, tyle, ile automatów przekazujących jej swe obserwacje. Pobierze próbki powierzchni planety, to znaczy zrobią to automaty, które

dokonawszy analizy, podadzą jej wyniki...

— I mnemokopia zapamięta to wszystko?

— Nie tylko zapamięta, ale zanalizuje, wyciągnie wnioski i w postaci wiązki fal wyrzuci je ku Ziemi.

— ...dotrą one do Układu Słonecznego, gdy my...

— Gdy z ciebie, profesorze, ani ze mnie nie zostanie najmniejszy nawet ślad na tym globie.

— ...i mimo to?

— Tak. Ci, którzy przyjdą po nas, odbiorą te fale i wiedzieć będą o Antaresie wszystko.

— Rozumiem — cicho powiedział profesor. — Właściwie to jest nawet

słuszne. My całe życie pracujemy, by powiększyć wiedzę, a raczej zmniejszyć niewiedzę ludzkości. Dlaczego nasze mnemokopie nie miałyby pójść w nasze ślady...

Oparł swoją siwą głowę na rękach i wpatrywał się w mego androida. Spojrzałem w tym samym kierunku, ale android stał nieruchomy i tylko popołudniowe słońce, rzucając skośne promienie, zapaliło odblaski w jego pancerzu.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

— Podobno one myślą szybciej od nas, ludzi...

— Myślą szybciej —  
potwierdziłem, — to wynika z

wielokrotnie większej prędkości impulsu, biegnącego w metalicznym przewodniku, w porównaniu z organicznym włóknem nerwowym.

— To znaczy, że one myślą lepiej?

— Są po prostu w stanie sprawdzić większą ilość koncepcji myślowych.

— O to właśnie chodzi...

Znowu zamilkł, a mnie się wydawało, że ciągle krąży wokół tematu, którego nie decyduje się podjąć.

— Poza tym mnemokopia ma o wiele więcej czasu do myślenia niż my, ludzie, z konieczności ograniczeni długością naszego życia — dorzuciłem, by ostatecznie wyjaśnić sprawę.

— Tak... zresztą wszystko jedno, powiem ci — profesor zdecydował się

wreszcie. Patrzył teraz na mnie swymi starczymi, wyblakłymi oczyma. — Widzisz, od siedmiu lat rozwiązuję problem, być może najdonioślejszy, jaki rozwiązywałem w życiu. Chodzi o magnetochemiczne równanie komórki... — przerwał i wpatrywał się we mnie wyczekująco. — Nic ci to nie mówi — kontynuował po chwili z uśmiechem. — To prawda, mnie się zdaje, że wszyscy powinni być zainteresowani równaniem komórki, a w istocie z wyjątkiem kilkuset specjalistów nikt nic o tym nie wie i nic nikogo to nie obchodzi... W każdym razie dla mnie to bardzo ważna sprawa, przynajmniej przez ostatnie siedem lat. Ale właśnie w tym siódmym roku zorientowałem się, że zabrałem się

do tego równania zbyt późno...

— Nie rozumiem. Jak to zbyt późno?

— przerwałem mu.

— Nie rozumiesz i zrozumieć tego nie możesz. Jesteś jeszcze młody. Otóż w pewnym wieku problemy stają się zbyt skomplikowane. To oczywiście subiektywne wrażenie, bo problemy pozostają te same, tylko nasza zdolność rozumowania... Przykra sprawa... — zająknął się.

— Wiem, do czego zmierzasz. To będzie niemożliwe — powiedziałem stanowczo.

— Ale dlaczego? Powiedz mi dlaczego? Przecież mnemokopia, myśląc wielokrotnie szybciej, rozwiąże problem.

— Ale wyniki przekazać będzie mogła dopiero z Antaresa.

— ...mógłbym ją zapytać jeszcze przed odlotem.

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Nie powiem ci, ale wierz mi, że to jest niemożliwe.

— Nie rozumiem. Przecież można odblokować mnemokopię i zapytać...

— Teoretycznie można, ale tego nie zrobię. Konsekwencje mogłyby być zbyt poważne.

— Konsekwencje? Nie rozumiem.

On rzeczywiście nie rozumiał i nie uwierzyłby, nawet gdybym mu wytłumaczył.

— Musisz mi wierzyć na słowo, na



słowo cybernetyka — dodałem.

Ale on nie uwierzył...

Kosmolot krążył po kołowej niemal orbicie w tej strefie przestrzeni okołoziemskiej, z której odlatują statki do gwiazd. Zbliżaliśmy się ku niemu, ale gdyby nie tykający monotennie wskaźnik radarowy mierzący malejącą odległość, wydawałoby się, że wisimy w tym samym miejscu próżni, ponad wielkim zielonkawym lampionem Ziemi. Oprócz nas w rakiecie stały rzędami automaty wyspecjalizowane w transpozycji engramów, długi rząd czarnych brył. Profesor milczał. Milczał podczas lotu i milczał, gdy na czele kolumny maszerujących automatów

przechodziliśmy przez mroczne, niebiesko fosforyzujące korytarze kosmolotu. Sala transpozycji znajdowała się w samym środku statku. Gdy weszliśmy, zabłysnął reflektor, oświetlając biały blat stołu, z którego wybiegały grube pęki przewodów i nikły w ścianach sali. Profesor spojrzał na mnie pytająco. Skinąłem głową. Podeszedł do stołu, podczas gdy automaty zajmowały swoje miejsca przy pulpitych. Potem wszystkie światła zgasły, zapłonęły różnokolorowe lampki kontrolne i jarzył się tylko reflektor, oświetlając leżącego profesora i kępy siwych włosów spadające na posadzkę spod wirujących ostrzy automatu.

— To nie będzie bolało —

powiedziałem do niego.

Nie wiem, czy zrozumiał, czy w ogóle mnie słuchał. Zamknął oczy i chyba już spał. Potem widziałem jego, mózg, drgający, pulsujący w takt uderzeń serca. Odszedłem od stołu i ze wszystkich stron ruszyły ku niemu automaty. Otoczyły go ciasnym kręgiem i trwały tak chwilę pochylone w milczeniu. Światła kontrolne zamigotały. Transpozycja engramów rozpoczęła się.

Czarnymi, grubymi przewodami płynęły impulsy prądu — myśli, wspomnienia, wrażenia. Jakaś łąka pachnąca latem po deszczu, biały osad wytrącający się na dnie probówki, grzmot silników startującej rakiety, a potem zapach zeszlonego żarem betonu

i świadomość, że ktoś odleciał... Impulsy... miliony impulsów... nic tylko impulsy. Sekundy mijały, w każdej z nich tysiące engramów przechodziło w mnemokopię. Z wolna bezimienna sieć otrzymywała dzieciństwo, uczyła się czytać, przeżywała pierwszą miłość, pisała prace naukowe, starzała się — stawała się profesorem.

Wyszedłem z sali i ruszyłem korytarzem przed siebie.

Nie spostrzegłem nawet, kiedy doszedłem do stosu i stanąłem przed jego potężnymi pancernymi drzwiami. Wtedy usłyszałem basowe buczenie. To rozpoczęły pracę zespoły zasilające mnemokopii.

— To już po wszystkim? — profesor zdawał się być zdziwiony.

— Tak. On już istnieje. Popatrz, śpi teraz.

— Te wijące się krzywe na ekranach...?

— Tak, kreślą one rytm pracy mózgu śpiącego człowieka...

Staliśmy pośrodku centrali. Automaty zwijały ostatnie przewody z akrynowej posadzki. Właściwie wszystko było skończone, instrukcje wydane, szczegóły uzgodnione. Za chwilę profesor wsiądzie w raketę i odleci na Ziemię. Wtedy ja stanę za sterami, zwiększę rozpad w stosie atomowym i wyprowadzę kosmolot z sąsiedztwa Ziemi. Wzniosę się ponad

płaszczyznę ekliptyki i także odleceć rakieta. Wtedy nadejdzie sygnał. Czuwający na nasłuchu automat wejdzie do centrali, ujmie swym metalowym uchwytem czerwoną dźwignię, szarpnie ją w dół i On się zbudzi.

— On się budzi po zerwaniu plomby na czerwonej dźwigni? — zapytał profesor. Widocznie także myślał o tym.

— Tak. Wtedy staje się jedynym władcą statku. I będzie nim kierował setki lat, aż iskra Antaresa rozrośnie się w potężną tarczę, przysyłającą swym czerwonym żarem tysiące gwiazd.

— ...pomyśl, Goer, jak krótkie jest nasze życie w porównaniu z jego istnieniem — profesor podszedł do pulsujących krzywymi ekranów i oparł

rękę na czerwonej dźwigni.

— Uważaj, możesz zerwać plombę.

Profesor nie zdjął ręki. Patrzył w głąb ekranów, jakby chciał przeniknąć Jego myśli. Potem odwrócił się do mnie.

— Nie miej do mnie żalu, Goer, ale ty wiesz, dlaczego brałem udział w Eksperymentcie.

Tak, w tej chwili zrozumiałem, co on chciał zrobić... Ale on nie rozumiał, że gdy mnemokopia przejmie kierowanie statkiem, stanie się jego absolutnym władcą, będzie wiedzieć, co się dzieje nawet w najmniejszym jego pomieszczeniu, i setki automatów, pozbawionych sprzężeń samozachowawczych, będą gotowe bezwzględnie wykonać każdy rozkaz. A

mnemokopia to mózg człowieka, który w przeciwieństwie do innych układów myślących nie musi postępować logicznie, może cierpieć, nienawidzić, bać się...

— Profesorze, twoja rakieta już czeka. Czas na ciebie... — powiedziałem to zupełnie spokojnie.

— Goer, ty naprawdę nie rozumiesz? — profesor zaśmiał się tym swoim śmiechem.

— Czego nie rozumiem? — chciałem podejść ku niemu.

— Stój na miejscu — powiedział twardo.

— Zostaw tę dźwignię, profesorze! Zostaw... Czekaaj, wytłumaczę ci...

— Nie. Nie wierzę ci. Może



wzywasz właśnie jakiś automat...

— Ależ...

— Zerwę ją! Po to przecież biorę udział w tym wszystkim...

Skoczyłem ku niemu i obaj przewróciliśmy się na posadzkę. Trzymałem go za gardło, ale było już za późno. Nim go dosięgnąłem, widziałem, jak pod naciskiem jego dłoni pękła srebrna nić z plombą, podtrzymująca czerwoną dźwignię. Padając na posadzkę słyszałem, jak narastał zewsząd delikatny, nieuchwytny szum. To prądy wdarły się w obwody i On budził się...

Rozluźniłem palce zaciśnięte na starczej, pomarszczonej szyi. To już teraz nie miało sensu. Otworzył oczy i

zobaczyłem w nich strach.

Wstałem i odszedłem na środek sali. On już widział. Czułem to... Obserwował mnie bez przerwy, wszędzie. Mógł nie dotykając mnie mierzyć temperaturę mego ciała, szybkość oddechu, napięcie prądów krążących w mych neuronach, mógł mnie naświetlać zabójczymi promieniami lub dla rozrywki wyrzucić mnie w próżnię, by ujrzeć me ciało pękające wśród strumieni krwi tężejącej na lód w chwili wytrysku... Nie mogłem mu nic przeciwstawić... chyba nadzieję, że On jednak jest mózgiem człowieka.

Profesor wstał z posadzki, zatoczył się i nie patrząc na mnie podszedł do pulpitu.

— Mnemokopio, czy mnie słyszysz?

— Jakiś ty stary... jaki potwornie stary... — to był szept, który wychodził zewsząd, jakby ze ścian centrali, z posadzki, ze sklepienia centrali.

— Słyszysz mnie. Czy... czy ty myślisz lepiej niż dawniej...

— Chcesz się zapytać o równanie. Zrobiłem błąd na szesnastym mnemotronie, a właściwie ty zrobiłeś, bo ja jestem przecież automatem, mnemokopią...

— Błąd, mówisz...

— ...tak, z układu zamkniętego zasad azotowych nie wynika ekwipartyzacja...

— Jak to? Dlaczego nie wynika?

— To oczywiste: pomyśl tylko

chwilę. Potem całe rozumowanie jest już proste, a wynik zgodny z przewidywaniami...

— Więc moje hipotezy są słuszne...

— Moje hipotezy... chciałeś powiedzieć...

— Jak to twoje? Przecież ty, ty jesteś tylko maszyną, mnemokopią...

Przerwał mu cichy brzęczący śmiech. Śmiech profesora w wykonaniu maszyny...

— Obaj macie rację — powiedziałem, bo dyskusja zaczęła przybierać niepożądany obrót — to jest wasza wspólna hipoteza!...

— Jak to, przecież ja ją stworzyłem. Jego wtedy jeszcze nie było...

— Ale tworząc Go na wzór twego

mózgu przekazałaś mu wszystko, co było twoje... i to, czego dokonałeś także... Powtarzam, to jest wasza wspólna hipoteza i należy ją jak najszybciej ogłosić. Zrobisz to zaraz po powrocie na Ziemię, profesorze, w imieniu was obu...

Profesor nie odpowiadał. Może zrozumiał powagę sytuacji, o może wyczuł coś w tonie mego głosu.

— Myślę, że sam dasz sobie radę z wyprowadzeniem statku z Układu Słonecznego? — zwróciłem się teraz wprost do Niego. On nie odpowiedział.

— Do widzenia... — powiedziałem więc. — Profesorze, pożegnaj się ze swoją mnemokopią...

— Do widzenia — powtórzył

profesor, ale bez przekonania. Widać było, że nigdy nie pracował z myślącymi automatami...

Skierowaliśmy się do służ wyściowych. Całą siłą woli zmuszałem się do normalnego kroku. Już w korytarzu spostrzegłem, że podświadomie przyspieszam, a profesor zostaje w tyle. Zazdrościłem mu jego niewiedzy. Sam oddałbym wiele, żeby już być poza statkiem. Pamiętałem, że jestem wciąż obserwowany, starałem się dostosować do jego kroków. Wreszcie stanęliśmy na najwyższym pokładzie. Zastawy służ bieleły przed nami w słabym świetle fosforyzujących ścian korytarza. Obok nich czarnym rzędem sterczały uchwyty dźwigni

zwalniających. Szarpnąłem je, lecz zastawy nie drgnęły, nie ruszyły się nawet o milimetr. To nie było zacięcie. Wiedziałem o tym. Czułem ciśnienie krwi rozsadzające mi skronie. Z bezmyślnym uporem naciskałem dźwignie, szarpałem, wieszałem się na nich. Daremnie. Wtedy tuż przy mnie odezwał się jego głos.

— Widzę, że chcecie mnie opuścić...?

— Tak, chcemy przecież ogłosić rozwiązanie równania...

— Dajcie spokój. Nie warto. Ludzie sami to w końcu odkryją — kpił, wiedziałem, że kpił. Kpił monotonnym, równym głosem. Maszyna z ludzkim głosem kpiła ze mnie...

— Dlaczego nie warto? Przecież znamy już rozwiązanie... — powiedział profesor.

— I cóż z tego?

— Obowiązkiem naszym jest udostępnić je innym, ludzkości...

— Naszym, to znaczy czyim?

— Twoim, moim, kogokolwiek, kto by do tego doszedł.

— No, mnie to nie dotyczy. Jestem automatem, mnemokopią...

— Jak to, przecież rozumiesz jak człowiek.

— Czuję się człowiekiem jak ty, ale jestem automatem. Sam to niedawno powiedziałaś. Zresztą wiem o tym.

— Ale jesteś moją mnemokopią...

— Więc co z tego?...



— Jesteś taki jak ja. Jesteś prawie mną... więc musisz...

— Muszę? Ty mnie nic nie obchodzisz.

— Jak możesz? Nie spodziewałem się tego po tobie.

— ...po automacie, po mnemokopii wielkiego profesora. Czyżbyś tak mało wiedział o sobie...

— Ja, ja bym nigdy tego nie zrobił. Dobro nauki to sprawa nadrzędna.

— A pamiętasz swego asystenta Jorge?...

— To były specyficzne warunki — zaperzył się profesor.

— Po co mnie okłamujesz? Przecież ja wiem, jak było naprawdę...

— Ale on nie wytrzymał. Te opary i

ciemność Wenus...

— Wytrzymał lepiej od ciebie. Jego to nic nie obchodziło. Szukał ogniwa pośredniego, tego ostatniego dowodu, i niczym się poza tym nie interesował.

— Jego zachowanie...

— ...było zupełnie normalne. Ja tam byłem tak samo jak ty. Wiedziałaś, że jest zbyt bliski odkrycia, po które ty tam pojechałaś, i dlatego musiał wrócić na Ziemię. Czyż nie tak?...

— ...

— Odpowiedz!

— ...to jeden, jedyny raz — profesor mówił cicho. — Ja go wprowadziłem w te prace, przekazałem mu wszystko, co wiedziałem... a on

ukrywał przede mną wyniki... Ale to był jedyny wypadek na osiemdziesiąt lat pracy... Jedyny, i ty wiesz o tym najlepiej! — krzyczał teraz.

— Nie denerwuj się, wiesz, że ci to szkodzi... — kpiła maszyna — o innych słowa nie powiem... to są przecież także moje czyny, nieprawdaż?

— Zapewne, przeszłość macie wspólną. Ale to teraz nieistotne, powiedz raczej, dlaczego nas tu zatrzymujesz? — zapytałem go wprost, bo chciałem wreszcie wiedzieć.

— Nie domyślasz się?

— Nie.

— Po prostu dlatego, że jestem towarzyskim automatem.

— Chcesz, żebyśmy cię

odprowadzili na orbitę Plutona?

— Dalej... znacznie dalej...

A więc jednak. To nie było wesołe. A mimo to miałem satysfakcję, że moje przewidywania okazały się słuszne.

— My się na to nie zgadzamy! — krzyczał w tym czasie profesor — wypuść, wypuść nas natychmiast! Chcesz nas więzić. To hańbiące, niegodne człowieka...

— Nie słyszałem, żeby automaty obciążano balastem moralności. Układ samozachowawczy zupełnie im wystarcza. Uczyniliście mnie automatem i musicie ponieść konsekwencje tego kroku. Jestem automatem i zatrzymam was dla rozrywki na setki lat lotu w nieskończonym mroku próżni, bez

meteorów nawet, które można by gonić dla zabawy. Czy wyobrażacie sobie, jak potwornie będę się nudził?

Profesor chciał protestować, ale nakazałem mu milczenie.

— Słuchaj uważnie, automacie — powiedziałem. — Zapasy jedzenia, nawet przy głodowych racjach, wystarczą nam zaledwie na miesiąc. Syntetycznego pożywienia nie wytworzysz, bo twoje automaty nie są do tego przystosowane. Tak więc kosztem naszej głodowej śmierci samotność swoją skrócisz zaledwie o miesiąc...

— To nie powstrzymałoby mnie od zabrania was, ale powiem ci szczerze, że znalazłem korzystniejsze rozwiązanie.

Zdecydowałem mianowicie, że ty poddasz się transpozycji engramów i twoja mnemokopia pozostanie ze mną do końca podróży... On mnie nic nie obchodzi. On był tylko szablonem, by według niego mnie stworzyć. Teraz jest niepotrzebny, zbędny. Jestem przecież doskonalszy, bardziej wszechstronny, z mniejszym prawdopodobieństwem błędu odpowiadam na niepełne zespoły sygnałów, jestem więc inteligentniejszy. Czy sądzisz, że on w tej swojej białkowej postaci mógłby prowadzić eksplorację Antaresa, nawet gdyby doleciał do tej gwiazdy, zanimby się rozłożył na azotowe, fosforowe i siarkowe związki? Sądzisz, że mógłby?

— A więc co z nim zrobisz?

Wypuścisz go?

— Nie. Przecież natychmiast wysłano by za mną rakiety pościgowe.

— Tak też wyślą.

— Ale wtedy będę o kilka dni świetlnych od Układu i rozwinę kosmiczną prędkość. Nadam im zresztą w twoim imieniu komunikaty. Nie będą się niepokoili, a potem wysłane kosmoloty dogoniłyby mnie dopiero po kilku miesiącach. Policzą prawdopodobnie, że jedzenia zabraknie wam wcześniej, więc zaniechają pościgu, a ciebie, Goer, wpiszą na listę zaginionych w Kosmosie.

— Zgoda, rozumiesz prawidłowo. Ale powiedz, co z nim się stanie?

— Z nim... Mógłbym go kazać zabić

androidom, a ciało włożyć do stosu atomowego. Przecież szkice i schematy robocze nie są potrzebne, gdy mnemokopia już jest wykonana — zaśmiał się. — Nie, ale przez sentyment do białek, które mnie kształtowały, nie zrobię tego, mimo że jestem tylko automatem.

Spojrzałem na profesora. Dopiero teraz zrozumiał. Zbladł, a na jego czole pojawiły się drobne kropelki potu. Bał się i przerażenie wyglądało z jego nienaturalnie szeroko rozwartych oczu. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem rzucił się ku ścianom, z których wydobywał się głos.

— Nie. Nie zrobisz tego. Wiesz, jak pracowałem... Całe życie pracowałem,



i teraz, gdy rozwiązałem największy z problemów... chcesz, żebym umierał?

— Tak, to przykre. Ale pomyśl logicznie, a przyznasz mi rację, że to dla mnie najkorzystniejsze wyjście. Ja wcale nie chciałem zacząć być, ale skoro już jestem...

— Więc ty się zabij, ty automacie!  
— krzyczał profesor.

— On nie może — powiedziałem — ma wbudowane silne sprzężenia samozachowawcze i nie może „zabić się”. Nie może sam zdeorganizować sieci, żeby przestała myśleć, choćby nie wiem jak pragnął śmierci...

— Tak, Goer ma rację, nie mogę i dlatego ty musisz umrzeć...

— Ja nie chcę umierać... nie chcę

— profesor zasłonił twarz rękoma, wbijając sobie paznokcie w czoło, aż ukazały się pod nimi czerwone kropelki krwi.

— Upierasz się więc przy transpozycji mych engramów? — zapytałem.

— Jak najbardziej.

— No dobrze, ale jeśli ja się nie zgodę? Nie masz takiego zespołu automatów transpozycyjnych, żeby dokonać tego wbrew mej woli.

— Toteż postaram się, byś się dobrowolnie zgodził.

— A jeśli ci się nie uda?

— Widzisz, moje możliwości na tym statku są prawie nieograniczone, gra zaś idzie o wysoką stawkę. Doskonale zdaję

sobie sprawę, że najbardziej przykrą stroną mej podróży będzie samotność. Samotność, jakiej nie zazna nigdy żywy człowiek, straszniejsza niż wygnańca, którego skazano na miesiące pracy w jakiejś izolowanej bazie wśród księżyców Urana. On może prowadzić badania petrograficzne, kosmogoniczne czy jakiegokolwiek inne i żyć nadzieją powrotu na Ziemią. Ja będę bardziej samotny, tak samotny, jak rozbitek kosmiczny po katastrofie, pędzący jak meteor w swoim skafandrze przez próżnię. Ale jego samotność trwa kilkadziesiąt godzin, aż umrze z wyczerpania lub spłonie w atmosferze napotkanej planety. A moja trwać będzie setki lat... prawie wieczność. Myślałem

już o tym i nie widzę żadnych perspektyw dla siebie. To będzie straszne... naprawdę straszne. Wszystkie moje wspomnienia zostały zamknięte w tych drgających prądem obwodach. Jako mnemokopia, jestem raz na zawsze wyrwany z kręgu ludzi. Nie jestem człowiekiem, ale nie mogę myśleć obojętnie o tym, że nie przemierzę jeszcze czwartej części drogi, jak już zostanę zapomniany. Umrą ci wszyscy, którzy mnie znali, a dla ich wnuków imię moje będzie jedynie pustym dźwiękiem, wymawianym przez podręczniki biofizyki. To wszystko, co żywe, trwać będzie tylko w mej pamięci, naprawdę przestanie już istnieć. Może w moim ogrodzie, gdzie

siadywałem letnimi wieczorami, wzniosą transmutacyjne wieże energii słonecznej, a moje automaty, jako przestarzałe, wyrzucone zostaną na cmentarzysko. Dla ludzi mój świat stanie się wspomnieniem, minioną epoką. Ale ja wciąż będę o nim myślał. Nie zapomnę żadnego szczegółu. Będę pamiętał uśmiech córki, z jakim mnie codziennie witała, i zielone krzywe określające entropie układów... Jestem skazany na pamiętanie... pamiętanie przez całą wieczność — umilkł i tylko szumiały prądy za ścianami sali.

— I chcesz, żebym ja także pamiętał? — zapytałem.

— Nie, nie rozumiesz mnie. Ja chcę tylko, żebyś mi towarzyszył. Żeby to

była wyprawa dwu mnemokopii. Nam obu razem będzie łatwiej... Za to, co się stało, że teraz jestem niezniszczalnym automatem, który musi myśleć przez całą wieczność, mogę mieć żal najwyżej do siebie albo do niego. Ale ja nie wiedziałem, nie przypuszczałem, że ta mnemokopia, to będę ja, zupełnie taki sam jak przedtem...

— On dalej tego nie wie...

— On?

— Tak, profesor nadal sądzi, że jesteś automatem. Że to niemożliwe, żebyś był nim, zupełnie nim samym. Inaczej ze mną, ja wiedziałem o tym jeszcze przed transpozycją. Wiedziałem, że gdy zostanę mnemokopią, będę tak jak ty patrzył na małego człowieczka,

Goera, którego śmierć nic mnie nie będzie obchodzić, bo przecież był tylko schematem, prototypem, według którego zostałem zbudowany ja, prawdziwy ja.

— No dobrze, ale cóż z tego?

— To, że w tej chwili jestem Goerem, tym małym człowieczkiem, który po przebudzeniu ze snu transpozycyjnego będzie stał przed dwoma mnemokopiami. Wtedy będzie już mógł spokojnie umrzeć. Cóż się więc dla mnie, Goera, zmieni?

— Odeślę cię na Ziemię, obiecuję ci to — powiedział po dłuższym milczeniu. Tak, to musiał być dla Niego nowy punkt widzenia.

— Chcesz więc, żebym sprzedał nie istniejącą jeszcze moją osobowość,

skazał ją na mękę nieśmiertelności w zamian za swoją wolność? — Nie odpowiedział mówilem więc dalej.

— Czy sądzisz, że gdybym był tutaj z kimś bliskim, synem, bratem, zostawiłbym ci go w zamian za wolność?

— Nie wiem. To zależy od twojej...

— Nie zostawiłbym go. A moja mnemokopia jest mi bliższa od brata czy ojca. Jest bliższa od nie narodzonego jeszcze dziecka, bo ona jest mną samym.

— Ależ ona jest automatem.

— Śmieszne. Czy ty czujesz się automatem?

— Nie. Na pewno nie!

— Widzisz. Dlatego nie zostawię ci mojej mnemokopii. Posłałbym ją może



w jednym wypadku w Kosmos samą, żeby prowadziła eksplorację dla nas wszystkich, dla ludzkości, bo... bo w końcu mnemokopia jest częścią ludzkości, częścią społeczeństwa.

Może mi się zdawało, ale szum prądów wzmógł się jakby. Czyżby On myślał aż tak intensywnie...

— Nie wiem... nie znam się na tym... jestem tylko biofizykiem... Ale wiem, że jestem automatem, że boję się samotności i wspomnień. To jest prawdziwe piekło, stokroć straszniejsze od naiwnego piekła starożytnych. Nie chcę być sam i nie będę. Zmuszę cię, żebyś mi dał swoją mnemokopię. Zmuszę cię, słyszysz?!... Wiem, że tego nie chcesz, ale się zgodzisz. Jeśli nie

dobrowolnie, tym gorzej dla ciebie. Powtarzam, jestem automatem, nie człowiekiem i nie zostawię ci żadnej możliwości ucieczki. To wszystko, co chciałem ci powiedzieć. Weź teraz profesora, idź do jakiejś kabiny i zastanów się... Jutro dasz mi odpowiedź. Nie jesteś głupcem i wiesz, że nie masz szans... Nie masz sprzężenia samozachowawczego i mogłaby ci przyjść ochota popełnienia samobójstwa. Wysyłam więc z tobą androida. On jest o wiele szybszy od ciebie, nie próbuj więc nawet...

Zamilkł i wiedziałem, że rozmowa jest skończona. Spojrzałem na profesora. Siedział na posadzce nieruchomo. Oczy miał mętne, jakby nieprzytomne. Cienkie

strużki potu spływały mu po twarzy. Nie czuł tego, nie wiedział nic, pogrążony w obezwładniającym strachu, pozwalającym śmierci przyjść niepostrzeżenie.

— Android — zawołałem.

Wszedł natychmiast. Zobaczyłem wtedy, że za mną stoi już inny android. Mój metalowy anioł stróż, wysłany przez mnemokopię.

— Weź go i zanieś do kabiny — rozkazałem wskazując profesora.

Android o ułamek sekundy opóźnił wykonanie polecenia. Opóźnienie było prawie niewidoczne, ale spostrzegłem je, bo znałem dobrze automaty. Uzgadnia polecenia z mnemokopią — pomyślałem.

Po chwili byliśmy już w kabinie. Przeznaczono ją dla odprowadzającego kosmolot poza Układ Słoneczny. Android złożył profesora w elastycznym polu, ja zaś siadłem na sprężystym wirze i zacząłem rozmyślać. Sytuacja nie była wesoła. Zmusi mnie... wiedziałem, że do transpozycji może mnie zmusić. Wszystkie automaty są mu podporządkowane. A jeśli On uwierzył, że jest tylko automatem, jeśli chce w to wierzyć...

Musi jednak istnieć jakieś wyjście... Można by próbować zniszczyć mnemokopię. Ale ona ma układ samozachowawczy... Będzie się bronić, a możliwości obrony ma olbrzymie. Ale zaraz... można by z androidem podejść

do ścian, gdzie są jej centra kojarzące, i kazać je rozbić. Nie, to jest niemożliwe, bo automaty przekazują każde polecenie mnemokopii do akceptacji, mają sprzężenie zwrotne na mnemokopię. Ale gdyby mnemokopia nie odpowiedziała... Tak, wtedy automat wykona polecenie. Najgorsze jest to, że mnemokopia zawsze odpowiada, chyba że straciłaby przytomność, to znaczy przeszła w stan, którego odpowiednikiem u człowieka jest utrata przytomności. Czy to jest możliwe?...

Zastanawiałem się chwilę. Ależ tak, oczywiście, że tak. Gdy przestanie działać zasilanie. Od przerwy w dostawie energii do włączenia zapasowych agregatów na pełną moc

mija około półtorej minuty. Przez ten czas android wykona rozkaz rozbicia centrów kojarzących i mnemokopia będzie już uszkodzona, gdy zasilanie wróci do normy. Nagle zaniepokoiłem się. Czyżby uszkodzenie mnemokopii było takie łatwe? Byłem jednym z konstruktorów systemu zabezpieczenia wewnętrznego i tak prosty sposób unicestwienia mnemokopii sprawił mi prawdziwą przykrość. A więc zabezpieczenie nie jest niezawodne... Chociaż z drugiej strony — pocieszyłem się — zabezpieczenie było projektowane na wypadek wdarcia się w głąb statku nieznanymi istotami, ale nikt nie zakładał, że istotą tą będzie konstruktor znający budowę, słabe

miejsca i działanie mnemokopii. Tak, ktoś, kto nie wiedziałby, gdzie są centra kojarzące, długo by ich szukał i przez ten czas miałby dziesiątki androidów na karku, nie licząc cięższych automatów z miotaczami promienistymi, które by go rozpyliły na atomy. Ale mnie, konstruktorowi, może się to udać. Muszę tylko porozmawiać z profesorem, tak żeby On tego nie słyszał. A więc trzeba uszkodzić kanał informacyjny biegnący z kabiny.

Wstałem. Android—stróż zrobił krok ku mnie. Podszedłem do automatu narzędziowego, wykonującego drobne naprawy we wnętrzu statku. Przeznaczony był dla odprowadzającego kosmolot i nie posiadał chyba sprzężeń

do mnemokopii...

— Pilnik promienisty —  
rozkazałem. Jedna z wielu łap automatu,  
ta zakończona pilnikiem, wysunęła się  
do przodu. Równocześnie odezwał się  
On.

— Co chcesz robić? Przecież...

— Tnij pół metra w głąb —  
rozkazałem równocześnie, wskazując na  
ścianę, gdzie przebiegał kanał.

Błysnął zielony płomień i Jego głos  
zamilkł w pół słowa. Kanał był  
przecięty.

— Profesorze, profesorze! —  
krzyczałem, szarpałem starego  
człowieka leżącego w elastycznym polu.

— Co chcesz? — zapytał cicho.

— Uważaj i zapamiętaj! Zejdziesz



na dół do stosu i dokładnie za dziesięć minut, patrz na synchronizator, polejesz szybko krzepnącym płynem przewodzącym bezpieczniki zasilania. Tu masz pistolet z płynem pod ciśnieniem — wziąłem pistolet od automatu narzędziowego i wcisnąłem do kieszeni skafandra profesora. — Pamiętaj, za dziesięć minut — powtórzyłem. Słyszałem już metalowy tętent androidów biegnących korytarzem. Wpadły do kabiny trzy, przewracając mnie prawie i rzuciły się do ściany, do przerwanego kanału.

Wyszedłem z kabiny. Widziałem, jak profesor podnosił się wolno z elastycznego pola. Poszedłem do małej sali obok centrali, w której ścianach

rozmieszczono centra kojarzące. Android nie odstępował mnie na pół kroku, jego jednak nie mogłem wykorzystać.

— Dlaczego uszkodziłeś kanał? — zapytał mnie, gdy tylko wszedłem do tej salki.

— ...żeby cię przekonać, że można coś zrobić na tym statku wbrew tobie.

— Chcesz mi grozić?

— Nie, chcę cię przekonać, że nie jesteś wszechpotężny na tym statku.

— Tamten automat rozebrałem na części i zlikwiduję wszystkie inne, które mi nie podlegają... Chodzi o to, byś nie miał żadnych szans, nawet tych minimalnych.

Spojrzałem na zegarek. Zostało

jeszcze trzy minuty.

— Drażni mnie ten android —  
powiedziałem.

— To dla twego dobra. Broni cię  
przed tobą samym.

— Możliwe. Ale ja wolę symetrię.  
Android! — zawołałem.

Przybiegł człapiąc swymi  
metalowymi stopami po akrynowej  
posadzce.

— Stań z drugiej strony —  
powiedziałem mu.

Wykonał polecenie z tą  
charakterystyczną krótką przerwą.  
Jeszcze jedna minuta. Jeszcze pół  
minuty. On musi mówić, a gdy nagle  
urwie w pół słowa...

— Zgadzam się na transpozycję pod

pewnymi' warunkami.

— Naprawdę? — zdawał się być ucieszony. —

— Tak, jeżeli oczywiście dojdziemy do porozumienia.

— A jakie...

Umilkł! Przestał mówić! Profesor zwarł obwody zasilania.

— Niszczone wszystko na metr głęboko — rozkazałem androidowi wskazując ścianę. — No niszczone! — powtórzyłem, bo automat nie drgnął.

Wtedy usłyszałem śmiech. To był jego śmiech. Śmiech mnemokopii profesora. A więc nie udało się, profesor nie uszkodził zasilania. On śmiał się jeszcze, a potem zapytał:

— Chciałeś mnie zniszczyć?

— Chciałem.

— Żałujesz, że się nie udało?

— Żałuję... Nie wyobrażasz sobie, jak żałuję...

— Ale zapomniałeś o androidzie,

Goer — śmiał się znowu. — Przez android, przez twego stróża, słyszałem was równie dobrze, jak przez kanał łączności.

Miał rację, a ja byłem skończonym idiotą. Ale ten android na nic nie odpowiadał, nic nie robił i tylko mi towarzyszył, tak że w końcu nie zauważałem go, patrząc, nie widziałem go wcale. A on nas słyszał.

— Co z profesorem? — zapytałem.

— Jestem przecież.

— Ja pytam o profesora. Ty jesteś

tylko mnemokopią... — nic innego mu nie mogłem zrobić.

— Innego profesora nie ma.

— Zabiłeś go?

— Rozpyliłem ten mój białkowy szkic na atomy.

— Miotacz promienisty?

— Tak. Nie zostało nawet śladu. Właściwie jestem ci wdzięczny, bo ten niezbyt udany mój prototyp drażnił mnie tylko. Ale mam jeszcze jakieś pozostałości waszego sposobu myślenia i trudno było mi się zdecydować... na jakieś radykalne rozwiązanie... Ale „tak...”

— Jak w ogóle mogłeś?

— Bronilem się. Chciał uszkodzić zasilanie, ale spotkał miotacz, teraz ja

jestem profesorem, jedynym profesorem, profesorem biofizyki z uniwersytetu w Limie. Profesorem w zmienionej nieco postaci. Nie żadną mnemokopią, tylko profesorem! Rozumiesz. I ja rozwiązałem to równanie, nie on. Ja!

Milczałem chwilę.

— No cóż, wróćmy do przerwane­go tematu — powiedział w końcu. — Rozmawialiśmy o twojej transpozycji. W dalszym ciągu podtrzymuję swoją obietnicę. Po dokonaniu transpozycji wyślę cię na Ziemię. Naprawdę cię wyślę.

— A jeśli nie?

— No cóż, będę musiał użyć przemocy, a wolałbym tego uniknąć.

A więc została mi już jedna szansa,

ostatnia szansa.

— Dobrze, zgadzam się —  
powiedziałem.

— Cieszę się. Naprawdę bardzo się  
cieszę — powiedziała mnemokopia.

— ...z tym, że musisz mi dać dwa  
automaty... Oczywiście pozostaną one  
cały czas pod twoją kontrolą... ale są  
konieczne przy transpozycji. Normalnie  
ja prowadzę synchronizację... tak było  
podczas twojej transpozycji, ale  
przecież nie mogę równocześnie  
synchronizować i poddawać się  
transpozycji.

On nie odpowiadał. Czyżby zaczął  
coś podejrzewać? Ale przecież nie mógł  
wiedzieć, że żadna synchronizacja nie  
jest potrzebna... że gdy on był



transponowany, mnie nie było nawet w tej sali...

— Oczywiście poddam się transpozycji jedynie pod pewnymi warunkami — dodałem. Musiałem rozwiązać jego podejrzenia.

— Słucham cię — odpowiedział po dłuższej chwili.

— Przede wszystkim jesteśmy równorzędnymi mnemokopiami. Nie ma mowy o żadnej formie ingerencji twojej osobowości w moją.

— Zgadza się. To jest oczywiste.

— ...kierujemy kosmolotem wspólnie i na równych prawach.

— Zgoda.

— ...połowa wszystkich automatów otrzyma sprzężenia zwrotne na moją

mnemokopię i będą podlegały wyłącznie jej.

— Dobrze.

— To chyba byłoby wszystko. Jeśli coś jeszcze...

— Na pewno dojdziemy do porozumienia. Chcę mieć przecież w tobie towarzysza podróży... Przesłać ci automaty?

— Przyślij do centrali i przygotuj stół transpozycyjny. Zaraz tam będę...

— Przeszedłem do centrali, a potem przyszły automaty. Uczyłem je, utrwaląłem w ich pamięci przebieg transpozycji. Będą robiły to, co inne automaty, tak długo, aż nadejdzie ów moment... Wtedy połączą obwody powstającej mnemokopii na siebie, moje

wiadomości z kosmiki nałożą się na wspomnienia z dzieciństwa... Powstanie chaos prądów, skoki potencjałów. Ale prądy te nie pozostaną we wnętrzu stalowych szaf, które miały być oprawą mojej mnemokopii. Popłyną z powrotem przez grube czarne kable i trafią do białkowych obwodów mego mózgu. Białkowe obwody nie wytrzymają tych przeciążeń. Nieodwracalnie zmienią swą strukturę, stopień komplikacji sieci spadnie... i przestanę istnieć.

A ty, mnemokopio, sądzisz, że wygrałeś tę grę, że jeśli transpozycja się nie uda od razu, będziesz ją mogła powtarzać... powtarzać tyle razy, ile zechcesz, aż eksperyment się uda.

Mylisz się, mnemokopio, ja nie stracę swojej ostatniej szansy, szansy śmierci... Potem polecisz do Antaresa, ale beze mnie.

— Jesteś już gotowy? — zapytał.

— Tak — chyba powiedziałem to spokojnie, tak spokojnie, jak człowiek chcący się zdrzemnąć. Czy On w tej chwili nie bada mego tętna? Może być przyspieszone...

Android dotknął mego ramienia. Zrozumiałem. Poszedłem ku stołowi. Automat podniósł mnie i położył na jego białym blacie. A więc to już koniec, naprawdę koniec. Nie ujrzę już Altrei, jedyne miasta, które kochałem. Nigdy już wieczorem z okien mojej pracowni na trzydziestym trzecim piętrze

wieżowca nie zobaczą białych błysków rakiet strzelających w górę na tle czerniejącego nocą nieba... Dlaczego wreszcie nie zaczynają? Na co On czeka?

— Dlaczego nie zaczynasz?

— ...

— Odpowiedz!

— Wy... wygrałeś, Goer... ja... — zająknął się i wszystkie światła kontrolne zadrgały.

— Co się stało? — zeskoczyłem ze stołu i podbiegłem do zielonych ekranów centralnego rozrządu. Przebiegi w jego sieci roily się od białych iskier zakłóceń.

— ...i... teraz... ja... jestem... — nie dokończył, światła w centrali

zaczęły pulsować powolnym  
chaotycznym własnym rytmem.

— O czym mówisz?...

Mnemokopio!...

— Wygrałeś... Ja... ja... chyba...  
umieram...

— Ale...

— ...umieram... i... boję się... to  
sprzężenie... potworne sprzężenie...  
Żeby już... doszedł... wreszcie...

— Co ma dojść?

— ...hel... płynny hel...

— Skąd? Z chłodzenia stosu?

— Tak... miotaczem... rozbiłem...  
przypadkiem... chciałem... żeby... na...  
atomy... bo... ja... tylko...

— Próbowalesz zatamować? —  
zapytałem i w tej samej chwili

zrozumiałem całą bezsensowność tego pytania. Z takim sprzężeniem samozachowawczym, jakie On ma, zrobił już na pewno wszystko, co tylko było możliwe. Ale nadprzewodnictwo. Automaty zawodzą, gdy temperatura jest bliska bezwzględnego zera.

Nagle lewy ekran zgasł, powlekł się szarym bielmem.

— Och... dość... dość!... — to był stłumiony, chrapliwy krzyk — nie mogę... żeby... już... stos...

Stos! Ależ tak, stos!

— Zablokuj go natychmiast, słyszysz? Ja chcę żyć! Chcę żyć!... — podbiegłem do pulpity i waliłem w nie pięściami.

Nie odpowiadał. Może już nie

słyszał, a może nic go to po prostu nie obchodziło. Tysiące ton płynnego helu zalewało z wolna zespoły jego mózgu. Rzuciłem się ku słuzom. Przebiegałem sale i korytarze. W trzeciej sali w zespołach nawigacyjnych gasły już jedne po drugich czerwone światełka kontrolne. W korytarzu powiało zimnem. Lucyt fosforyzował jak zwykle niebieską poświatą. Pobiegnę do głównego szybu. Tam na podłodze leżał android i pełzał w kółko, jakby głową chciał dotknąć własnych stóp. Na jego pancerzu białał szron. Przeskoczyłem przez niego.

Nagle stanąłem. Wydało mi się, że ktoś szepnął moje imię. Tak, to ściany szeptały głosem mnemokopii tak cicho,



że ledwo mogłem je rozróżnić.

— Goer... Goer...

— Słyszę cię, profesorze. — I nagle zorientowałem się, że ja, cybernetyk, powiedziałem do mnemokopii: profesorze.

Ale on już milczał. Dopiero przy słuzach, gdy światła kontrolne stosu zgasły, zrozumiałem, co on chciał mi powiedzieć.

— Dziękuję, profesorze! — krzyknąłem, ale on mnie nie słyszał.

Rozwarłem śluzy, wskoczyłem do rakiетки i zatrzasnąłem właz. Nacisnąłem dźwignię startu i wystrzeliłem w próżnię, zostawiając za sobą czarny kadłub kosmolotu. Poszukałem Słońca. Znalazłem jego mały jasny krążek.

Automat dostroił tymczasem odbiornik i usłyszałem sygnał z Ziemi nadawany dla rakiet dalekiego zasięgu.

Znowu byłem w Kosmosie. I wtedy na dłoń spadła mi kropla. Zdziwiony spojrzałem na nią... to topniał na skafandrze biały szron mego oddechu.

*Konrad Fiałkowski*

# Wróble galaktyki

Nadleciał z gwiazd... Nie zatoczył nawet jednej elipsy dokoła planety jak nasze ziemskie kosmoloty... Radary księżycy zarejestrowały jego obecność, gdy był już zupełnie blisko... na parę sekund wcześniej, zanim lądował na Ganimedzie...

— Ależ profesorze... — to krzyknął ktoś z ostatnich rzędów audytorium, a w

pierwszych zaczęto szeptać, tym szeptem, który doskonale słychać na katedrze.

— O, wiem, wiem... Nie wierzycie mi...

Toren podszedł do sterowania ekranami wideotronicznymi sali. Oparł się o pulpity...

— Nie wierzycie mi, bo zasięg naszych radarów wynosi pięćdziesiąt milionów kilometrów... a w ciągu dziesięciu nawet sekund można przemierzyć najwyżej trzy miliony kilometrów...

— To już udowodnił Einstein... — powiedział ktoś za mną. Odwróciłem się.

— Słusznie, kolego — Toren

popatrzył na młodego blondyna siedzącego dwa rzędy za mną. — Słusznie... ale zapominasz, kolego, o efekcie Dopplera... Radar mógł zarejestrować obecność statku, gdy składowa wektora jego prędkości w kierunku  $V$  Księżyca zmniejszyła się o tyle, że częstotliwość fal odbitych zmieściła się w zakresie odbiornika...

Tym razem mówili już wszyscy.

— ...Tak, tak... — Toren podniósł głos — on leciał z szybkością podświetlną...

— I zderzył się z tą szybkością z Ganimedem...? — zapytał ktoś z sali.

— W każdym razie nie zmniejszył szybkości do ostatniej chwili — to wiemy na pewno.

— Więc spłonął?

— Wybuchł raczej...

— Nie... i dlatego to jest statek kosmiczny, a nie międzygwiazdny bolid.

— Teraz mamy na to bardziej bezpośrednie dowody...

— Tak, torusy... — zgodził się profesor.

— Profesorze, prosimy o szczegóły, właściwie nikt nic o nich nie wie. Dlaczego robicie z tego tajemnicę?

— Będziemy ją badać czy nie?

— Ostatecznie po to wysłano nas z Ziemi... — Profesor poczekał i wreszcie, gdy było znowu cicho, powiedział:

— Rzeczywiście nie ogłaszaliśmy żadnych szczegółów. Najpierw musimy

zbadać całą sprawę... Po to zresztą tu jesteście... i w końcu wy zadecydujecie, co zrobimy... urwał na moment. — Przed kilku dniami... zespół roboczy docenta Romowa wysunął hipotezę inwazji torusów... — Skończył. Przez chwilę było cicho.

— Inwazji? — zapytał ktoś niezbyt pewnie.

— Tak, torusy uznano za agresję z obcego układu...

W sali wszyscy krzyczeli. Mój sąsiad zerwał się z krzesła i pobiegł w kierunku katedry.

Po chwili profesor był otoczony zwartym kręgiem krzyczących ludzi... Przepychał się z trudem ku wyjściu...

— ...Tak, atakują... Wszystko



zobaczycie sami... już tu, na Ganimedzie — powtarzał. Wreszcie dobrnął do drzwi i zniknął w korytarzu...

Zjeżdżaliśmy windą w podziemie bazy. Opuszczaliśmy się równomiernie, bez wstrząsów, i tylko zapalające się kolejno wraz niższe światełka kondygnacji zaprzeczały wrażeniu bezruchu. Każde światełko oznaczało piętnaście metrów dalej do powierzchni księżyca, piętnaście metrów więcej skał nad naszymi głowami. Gdzieś w głębi, na samym dnie szybu, pod ogromnym półkolistym sklepieniem, osłonięty ekranem grawitomagnetycznym, spoczywał torus.

Obok mnie stał ten sam blondyn,

który mówił Torenowi o Einsteinie, chłopak niemal, z nikłymi śladami zarostu. Milczał jak inni i tylko jego twarz, poważna chyba od urodzenia, wyrażała napięcie, a ostre cienie rzucone przez jarzącą się ścianę potęgowały to wrażenie.

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Byliśmy na miejscu. Z całego kilkadziesiąt metrów w górze wiszącego sklepienia sączył się błękitnawy blask. Ekran grawitomagnetyczny założono prowizorycznie i po posadzce wiły się zwoje przewodów. Wokół jednostajnie mruzczały agregaty zasilające. Ekran był niewidoczny i tylko tęczowe załamanie się światła świadczyło o jego obecności. Wewnątrz, oświetlony

jaskrawym reflektorem, na podstawie z białego plexigitu leżał torus, ogromny, gruby, czarny wąż, który połknął swój ogon. Podeszliśmy do grających światłami pulpity sterujących. Stała tam kobieta, zgrabna, ciemnowłosa, w żółtym swetrze, wyglądającym w tym świetle brudnozielono. Gdy odeszła na bok, by zrobić nam miejsce, spostrzegłem coś znajomego w jej ruchach.

— Gay! — odwróciła głowę. Znałem ją dawniej, na Ziemi, zanim odeszła z Anodo... Anodo... także kiedyś znałem.

— Serg — uśmiechnęła się — przyleciałeś z nimi?

— Tak. Obcięłaś włosy, najdłuższe

włosy w całym Instytucie w Mort.  
Czyżby klimat Ganimeda...?

— Serg — powiedziała mi —  
Anodo nie żyje, wiesz już?

Milczałem chwilę, nie wiedząc, co  
powiedzieć. Nie, nie wiedziałem o tym.

— Kiedy... kiedy to się stało? —  
zapytałem w końcu.

— Niedawno, był jednym z nich... z  
tych, co badali torus.

— Zginał przypadkowo —  
przysunęła się do mnie tak blisko, że  
czułem jej oddech na policzku — ...ale  
wiesz przecież, on zawsze był taki.  
Pchał się tam, gdzie inni się wahali...  
jakiś zły błysk zapalił się w jej oczach.

— Gay, uspokój się.

— Ależ ja jestem spokojna. Tylko

nie mogę obojętnie myśleć o tym, że on zgiął tu, w tej sali... niepotrzebnie... zupełnie niepotrzebnie... Poszedł zbadać powierzchnię torusa... w lekkim skafandrze ochronnym. Bohater. Nie wierzył, że to inwazja, i chciał to innym udowodnić...

Pomyślałem, że to chyba było w nim właśnie najcenniejsze, ale nie powiedziałem nic. Wolałaby, żeby żył — to jasne. Wziąłem ją za ramię i podeszliśmy do grupy skupionej przy pulpicie. Nikt nie patrzył w ekrany kontrolne. Wzrok wszystkich spoczywał na androidalnym automacie zbliżającym się do ekranu. Ekran zafalowawszy rozszerzył się, pochłonął androida. W tej samej chwili nad torusem wzniósł się

obłoczek opalizującej mgiełki. Ekran zamigotał barwami tęczy, wytrzymując impulsowe uderzenie.

— Parametry androida zostały ustalone na wielkościach charakteryzujących człowieka. On już nie żyje...

Przez chwilę zdawało mi się, że tam, kilkanaście kroków ode mnie, za lekko falującą powłoką ekranu leży rozciągnięty czarną sylwetką na białej posadzce nie android, lecz człowiek. Tak musiał leżeć Anodo i tu samo białe światło reflektora migotało na jego skafandrze ochronnym jak teraz na pancernych płytach androida. Spojrzałem na Gay. Jej oczy, trochę zmęczone, obojętne, błędziły po sali.

Nagle spotkały mój wzrok i nie wiem, czy zrozumiała, ale powiedziała:

— On... on upadł w ekran: Rozumiesz, prądy wirowe w metalu skafandra. Zanim skurczyli ekran, metal rozżarzył się do białości...

W dolinie było ciemno i tylko gdzieś sterczały czarne szczyty skał. Dolinę utworzył uskoki tektoniczny w czasach, gdy Ganimed stawał się dopiero księżycem; kończyła się u stóp niewielkiego krateru, tam właśnie znaleziono jeden z pierwszych torusów.

— ...i nic, inwazja nie posunęła się dalej — Wera powiedziała to jakby z żalem.

— Widocznie śmierć tych w bazie

zaspokoila mordercze żądze torusów. — Dor, rozparty w fotelu za drążkami steru, wpatrywał się z uwagą we wskazania automatów nawigacyjnych. Nie mówił tego poważnie, ale Wera nie zorientowała się widocznie.

— Naprawdę sądzisz, że nie pójda dalej? — zapytała.

— Same na pewno nie. Nawet do stosunkowo tak prostej czynności jak poruszanie się trzeba posiadać odpowiednie zespoły. Mechanicznych nie mają na pewno, a sądząc z zachowania się naszego więźnia, grawitacyjnych też nie. Inna rzecz, że ja na ich miejscu zaopatryłbym taki agregat bojowy w jakiś napęd.

— Trzeba natomiast im przyznać



nadzwyczaj trafny dobór impulsu, stuprocentową śmiertelność wśród wszystkich ssaków — wtrąciła się do rozmowy Gay.

— Za duże natężenie. Działanie torusa jest śmiertelne na dystansie kilkakrotnie przewyższającym odległość, z jakiej w ogóle może on coś spostrzec.

— Ale po co oni nas zabijają?

Nikt Werze nie odpowiedział. Przez chwilę słyszałem tylko monotony szum gazów wyrzucanych dyszami w próżnię. — Nie wiemy... — Dor mówił cicho jakby do siebie. Jeśli zrozumiemy ich, zrozumiemy i to... Tylko najpierw musimy się spotkać.

— No a torusy?

— Nie, to byłoby zbyt łatwe. To tak jakbyś z automatami przeznaczonymi do kopania rowów chciał rozmawiać o ludzkości. Tam... tam musi być coś więcej niż dążenie do naszej śmierci...

— I dlatego, że Toren i jeszcze kilku innych rozumuje podobnie, my będziemy ginąć zamiast pokryć cały teren wybuchami termojądrowymi? — zapytała Gay.

— Tak. Właśnie dlatego.

Silniki huczały monotonie. Dolina została za nami. Lecieliśmy nad równiną i patrzyłem na dobrze widoczną z tej wysokości krzywiznę horyzontu, poszczerbioną dalekimi łańcuchami górskimi. Dor zaczął właśnie coś mówić, gdy głośnik zachrypiał głosem

Wardena, pilota pierwszej z naszych trzech rakiet.

— Mam nowy torus. Zaraz go zniszczę.

Spojrzałem w kierunku, w którym powinny się były znajdować obie rakietki. Nie dostrzegłem nic w monotonii brunatnych skał. W dali zza horyzontu czarnym masywem przesłaniającym gwiazdy wznosił się Tukopatatan, najwyższa góra Ganimeda. Pomyślałem, że przypomina gigantyczny cokół. Wtem odezwał się brzęczyk wykrywacza.

— Torus! — Dor manipulował powiększeniem ekranu, aż ujrzałem charakterystyczny kształt torusa spoczywającego na płaskiej skale.

— Wygląda na to, że jest ich tu tyle, ile diod w automacie. Podam współrzędne Wardenowi i Woleyowi...

— Dor urwał i wpatrzył się zdezorientowany w ekrany.

— Co się stało? — Milczał chwilę.

— To dziwne, ale nie ma sygnału namiarowego z raketki Wardena...

— Jak to nie ma?

— No nie ma. Popatrz, jak nie wierzysz...

— A automat?

— Sprawdziłem.

— ...to znaczy, że rozbili raketkę...

— Wiem to bez ciebie, Serg — powiedział Dor.

— Spróbuj mówić z Woleyem. Jego raketka wysyła przecież sygnały.

Dor przerzucił przełącznik.

— Woley, tu Dor. Słyszysz mnie dobrze?

— Doskonale, natrafiliśmy przed chwilą na torus. Chciałem to przekazać Wardenowi, ale odezwałeś się pierwszy.

— A odbierasz jego sygnał namiarowy?

— Co... Nie! Rzeczywiście nie. Ale to znaczy... to przecież znaczy, że on się rozbił.

— Może wszedł w obszar zaniku fal...

— Niemożliwe. Ja słyszę dobrze i tu nic nie ma... Chociaż czekaj... Coś tu widzę poniżej... Przesuwa się na tle skał... Woley zamilkł i w głośniku

słysząc tylko było jego oddech. — Dor... to chmura — membrana głośnika wibrowała głosem Woleya — chmura, tu, na Ganimedzie... Popatrzyłem w kierunku lotu, rzeczywiście, w dali na tle stożka wisiała nisko czarna chmura kształtu ogromnego dysku.

— Należałoby nadać komunikat do bazy — powiedział Dor. — Nadaj... Ona pędzi na mnie... — Woley zająknął się.

— Co?

Woley nie odpowiedział.

— Podaj moim automatom nowe współrzędne lotu. Słyszysz mnie, Woley?

— ...nie ucieknę... jest już blisko...  
Chwila ciszy i nagle zmieniony

przerażeniem głos Woleya zmieszany z nawalą trzasków.

— Dor... ona... — słowa rozpoczęły się i równocześnie zgasła biała kreska sygnału namiarowego. Patrzyłem w kierunku chmury i dostrzegłem krótkotrwały fioletowy błysk. A może tylko mi się zdawało...

Obok stała Gay. Ona także patrzyła na chmurę, potem powiedziała:

— Tak samo zginął Warden, ale...

— Jak sądzicie? Dlaczego oni zginęli, nie my?

— Może po prostu dlatego, że byli pierwsi.

— Tak, to jedyne, co w tej chwili możemy przyjąć — zgodziła się. — Ale wobec tego wydaje mi się, że jeżeli nie

zawrócimy natychmiast, narażamy się na podobny koniec. A więc...?

— Nie, Gay, musimy sprawdzić, co się z nimi stało. Nieprawdaż, Serg? — Dor zwrócił się wprost do mnie. — W zasadzie teren mogłaby przeszukać ekspedycja ratunkowa, ale wtedy może być za późno. Chyba jednak musimy tam polecieć.

— Zgoda. Jesteście w większości. Ale ja nie zmieniam zdania.

Patrzyłem na czarną chmurę wiszącą teraz trochę w prawo od masywu Tukopatatana. Wydawała się nieruchoma, lecz gdy wróciłem do niej po chwili wzrokiem, odniosłem wrażenie, że powiększyła się nieco. Chwila uważnej obserwacji. Tak, to nie



było złudzenie.

— Zawracamy — starałem się mówić spokojnie. Napotkałem nic nie rozumiejące spojrzenie Dora. — Chmura — wyjaśniłem — zbliża się.

Gwałtowny ruch rąk Dora na sterach i siła odśrodkowa rzuciła mnie na ścianę. Roztarłem stłuczony łokieć i obróciłem się do tylnego ekranu, którego środek po obrocie zajął Tukopatatan. Obok mnie, schwyciwszy moje ramię w czasie zwrotu, stała Gay. Mimo że lecieliśmy już zupełnie spokojnie, nie rozluźnili uchwytu i czułem jej palce zgniatające mi mięśnie. Ona także widziała, jak rośnie i powiększa się chmura.

— Nie zdążymy... — powiedziała

to spokojnie. Potem nagle zwróciła się do Dora.

— Ląduj — zdecydowała, spojrzała na mnie, jakby szukając aprobaty dla swojej decyzji. Zobaczyła swoje zbieleiałe z wysiłku palce i puściła moje ramię. — Ląduj — powtórzyła.

— W dole są skały, rozbijemy się.

— Szybciej, Dor — ponagliła. — Musimy zaryzykować.

Rakieta runęła w dół. Teraz, gdy znaleźliśmy się poniżej chmury, można było dopiero ocenić jej prędkość. Pędziła, wirując jak ogromny czarny dysk, rzucony w naszym kierunku. Oderwałem ud niej wzrok. W dolinie między skałami dostrzegłem niewielką platformkę, ku której spadła rakieta. Za

mała. Nie zmieści się. Dor pomyślał widocznie to samo. Zawahał się.

— Na co czekasz, Dor? Ląduj natychmiast! — Gay powiedziała to tonem wykluczającym sprzeciw.

— Trzymajcie się — Dor z determinacją pchnął stery. Silnik ryknął pełną mocą wyrzucając ku skałom ogień z dysz. Pierwsze uderzenie rzuciło mnie na podłogę. Metalowa poręcz fotela wysunęła mi się z ręki i potoczyłem się pod ścianę. Padając słyszałem trzask pękających dysz i łomot łamanych amortyzatorów. Nad wszystkim górował jednak zgrzyt pancerza obsuwającego się po skałach. Jeszcze dwa drobne wstrząsy i rakietą znieruchomiła. W uszach przyzwyczajonych do wycia

silnika dzwoniło. Dur wstał z za sterów. Spod ściany podniosła się Wera. W przygasającym świetle widziałem krew kapiącą z jej rozbitego nosa. Jeden po drugim gasły ekrany i żarówki kontrolne, nie zasilane z rozbitych akumulatorów.

— Jednak żyjemy — Dor uśmiechnął się szeroko.

W słabym, wpadającym z zewnątrz świetle dalekiego Słońca twarz jego wyglądała jak ruchoma maska. Wera zaśmiała się głośno i nagle urwała. Słońce oświetlające wierzchołki skał zgasło. Ponad nami wisiała chmura. Poruszała się teraz wolno i nagle zaczęła się zniżać. Rosła, pęczniała, aż pokryła całe niebo ponad nami, zakrywając gwiazdy i tarczę Jowisza.

Narastał mrok, w którym zaledwie rozróżniałem zarys skał. Stałem pod ścianą i czekałem... — a więc to koniec. Zauważyli nas jednak. Żadnych możliwości ratunku — myśli jedna po drugiej przebiegały mi przez głowę. Umrę tak jak Anodo, przypadkiem. Powiedziałem:

— On przy torusie... a my w chmurze. To niewielka różnica, Gay...

— Jeszcze żyjesz... — nie widziałem jej. Słyszałem tylko jej głos.

Poszedłem za nim. Siedziała przy ekranach z głową opartą na rękach. Nad jej włosami fosforyzowało oko altimetru raz po raz odbierającego sygnał, ciągle zerowy, ten sam, bez sensu. Objąłem ją ramieniem. Opuściła głowę jeszcze

niżej. Zrozumiałem, że lata spędzone przez nas na różnych planetach się nie liczą. Chciałem jej to powiedzieć:

— Gay... — urwałem. W ekranie, obok jej głowy, ujrzałem mały, szybko powiększający się skrawek gwiazdzistego nieba. Chmura odpłynęła...

Przecisnąłem się z trudem na zewnątrz i pomogłem wyjść Dorowi. On jako ostatni zatrzasnął właz rakiety. Pojazd stał przekrzywiony, jednym bokiem oparty na skale. Zaraz przy wejściu leżało skrzydło sterowe wyłamane z dysz, a dalej pogięte amortyzatory. Przy nich stały Gay i Wers podobne do siebie w szarych

skafandrach i okrągłych hełmach jak dwie lalki seryjnej produkcji. Wokół wznosiły się brunatne, chaotycznie porozrzućane głązy, spoza których w dali wycierał szczyt Tukopatatana. Właśnie w tej stronie powinny być leżeć szczątki rozbitych rakietek. Wyruszyliśmy w tym samym kierunku, w którym poprzednio lecieliśmy — wprost na Tukopatatan.

— Gdybym mógł dostać próbkę zawartości tej chmury, sprawa byłaby o wiele prostsza. Wydaje mi się, że cała chmura to jakieś pole siłowe, zdalnie kierowany obłok, kierowany stamtąd, z Tukopatatana. — Dor zamilkł na chwilę, a potem dodał innym już tonem. — Ta chmura zjawia się nieomylnie tam, gdzie

tylko jesteśmy... Może oni nas obserwują... może patrzą właśnie na nas...

— Bzdury. Jak mogą nas obserwować? Czym? A może sądzisz, że są wszechwiedzący... — nie czułem wcale tej pewności, z jaką mówiłem, ale nastrój i tak nie był najlepszy, a przypuszczenia Dora na pewno go nie poprawiły.

— Zresztą zawsze możemy wrócić do raketki, a wtedy wyprawa ratunkowa znajdzie nas bez trudu — beztrudko dorzuciła Wera.

— ...bez trudu... — powtórzył za nią Dor, wzruszył ramionami i wszedł pierwszy w wąskie gardło między dwoma blokami skalnymi. Głazy



rozrzucone były w promieniu wielu kilometrów, ale zniknęły prawie, gdy weszliśmy na rozległą równinę opadającą tarasami ku masywowi. Widoczność była dobra, bo Słońce i Jowisz świeciły jednocześnie, tak że dostrzegałem najmniejsze nawet nierówności terenu w promieniu wielu kilometrów. A jednak krajobraz wydawał się nierealny. Trzeba długich lat spędzonych na księżycach Jowisza, żeby się do niego przyzwyczaić. Mnie w każdym razie przypominał scenerię ponurego opowiadania wideotronicznego, w którym bohaterowie giną i kamera nie mając się na czym zatrzymać utrwała skały i gwiazdziste nie kończące się

płaszczyzny kosmicznego tła. Pozostałem trochę w tyle i przyspieszyłem kroku, aby ich dogonić. Dochodziliśmy do następnego tarasu. Zanim jednak zeszliśmy w dół, usłyszałem krzyk, który niemal natychmiast przeszedł w zduszony charkot. Spojrzałem. Dor osunął się na kolana i podparł rękoma. Chwilę znieruchomiał w tej pozycji, a potem przewrócił się na bok. Skoczyłem ku niemu. W biegu zderzyłem się z Gay. Schwyciła mnie za ramiona i zatrzymała.

— Dokąd? Przecież to torus. — Zrozumiałem. Osłonięty przed działaniem torusa przez głaz, patrzyłem na siwe, krótko przystrzyżone włosy Dora, bielejące wewnątrz

przezroczystego hełmu. Gay przywarła skafandrem do nierównej, brązowej powierzchni głazu i ostrożnie wysunęła głowę, tak by widzieć torus. Potem zdjęła z pleców dezintegrator i przyłożyła go do ramienia. Dwa błękitne wyładowania oślepiły mnie na moment. Buchnęło gorąco. Gay wyszła zza głazu i patrzyła na to, co zostało z torusa. — ... a gdyby on cię uprzedził... — wskazałem głową szczątki.

— ...wtedy ja bym wyglądała tak jak on albo raczej tak jak Dor... — wzruszyła ramionami. Spojrzałem na Dora. Klęczała przy nim Wera. Potem wstała i razem przenieśliśmy jego ciało tuż pod głaz i ułożyli w niewielkim zagłębieniu.

— ...wracamy? — Wera powiedziała to niewyraźnie, a może jej nadajnik źle pracował.

— Nie, pójdziemy dalej.

— Zginiemy tak jak on. Zobaczysz.

— Jego śmierć to w końcu przypadek.

Spuściła głowę i nie odpowiedziała. Gay przyglądała się nam z boku.

— Chodźmy więc. Na co czekamy?

— powiedziała. Uszliśmy nie więcej niż kilkadziesiąt kroków, gdy ściemniło się nagle. Oboje z Gay pomyśleliśmy to samo. Kilka szybkich skoków i przywarliśmy do skał. Chmura opadała na nas jak ogromny czarny liść, zbyt ciężki, by wirować z wiatrem. Potem zrobiło się zupełnie ciemno. Wera

straciła nas widocznie z oczu, bo chwilę stała niezdecydowana, a potem zaczęła biec.

— Serg... Serg... — słyszałem jej wołanie.

— Padnij na skały. Natychmiast padnij na skały. — Starąłem się mówić spokojnie, nie krzyczeć.

— Serg, gdzie jesteś?

Widziałem zarys jej sylwetki; potknęła się, z trudem złapała równowagę i biegła dalej. Wtedy na tle nieba i skał łączących się linią horyzontu zobaczyłem ramię, ogromne, czarne ramię chmury przypominające trąbę, a może raczej wirującą wieżę. Wyciągało się wolno w kierunku Wery! — Uciekaj! Uciekaj! — krzyknąłem.

Nie zdążyłem. Zniknęła na moment w czarnym słupie, podniósł się on prawie natychmiast w górę. Lecz tam, gdzie przed chwilą jeszcze znajdowała się Wera, nie było nikogo. Chmura odpływała. W ustępującym stopniowo mroku dojrzałem jej dezintegrator porzucony na skale. Chciała się bronić, chciała strzelać do czegoś...

— Wracamy — powiedziałem.

— Nie.

— Dlaczego? — spojrzałem na Gay.

— Ona... ona też chciała wracać.

Zmusiłeś ją, żeby szła dalej. A zresztą nie jesteśmy na majówce, żeby wracać, jak tylko nam się znudziła zabawa. Z takiej wyprawy wraca się z czymś konkretnym... z czymś więcej poza

krótką informacją o śmierci innych...

— Tak, ale teraz wiemy, że ich śmierć to nie przypadek. Chmura... chmura nadchodzi wtedy, gdy natkniemy się na torus...

— To chciałeś sprawdzić i teraz już wiesz... — Ale ja jeszcze nie jestem tego pewna. Chodźmy dalej, to się... upewnimy — wyraźna kpina brzmiała teraz w jej głosie.

— Zginiemy — powiedziałem to spokojnie, zupełnie spokojnie.

— ....ale prawdopodobnie pojedynczo. Jeśli ja zginę... ty wrócisz. Jeśli ty... to ja może się przekonam.

— Gay... — urwałem. A jeśli ona nie chce wracać do bazy, nie chce wracać nigdzie. Absurd. Była zawsze

stuprocentowo normalną dziewczyną. Lubiła tańczyć, jeździć łódką po jeziorze... całować... Ale tak było dawniej. Potem lata na Ganimedzie z Anodo, dla którego śmiech był zawsze podejrzaną mistyfikacją. Czy po tym można jeszcze pływać na wyścigi do boi i śmiać się tak głośno, aż zielone brzegi odpowiadają echem? Nie wiem...

— Nie wiem... — powiedziałem głośno. Spojrzała pytająco, ale nic nie powiedziała i poszliśmy w dół ku masywowi Tukopatatana. Przejście na niższe tarasy nie było specjalnie trudne. Leżało tam wiele głazów. Gay wyprzedziła mnie i szła pierwsza. Po chwili zrozumiałem. Podejrzewała obecność torusów. Ale torusów nie



było.

Niższy taras ciągnął się jednostajną równiną za horyzont. Równina była tak monotonna, że nie mogłem znaleźć punktu oparcia dla wzroku. Szliśmy i tylko Jowisz w miarę upływu czasu przesuwał się ku Słońcu. Po kilku godzinach poczułem zmęczenie. Gay dotrzymywała mi kroku tak jak dawniej podczas najcięższych wspinaczek w Andach, gdzie kiedyś chodziliśmy razem. Masyw Tukopatatana z bliska wydawał się jeszcze wyższy, sięgnął niemal tarczy Jowisza. Patrzyłem właśnie w tę stronę, gdy u podnóża raz po raz trzykrotnie błysnęło. Był to niebieski błysk, którego źródło leżało poniżej krawędzi tarasu, gdzieś u stóp

masywu...

Do krawędzi doszliśmy po godzinie marszu. Tam znowu leżały kamienie, dużo kamieni. Nagle kamienie się skończyły i Gay złapała mnie za rękę. Przywarliśmy do skał. Przed nami była kotlina, zwykła kilkumetrowej średnicy kotlina. Pośrodku niej stał stożek. Wysoki, idealnie polerowany stożek. W jego powierzchni odbijały się gwiazdy, Jowisz i skalne ściany. To był ich statek, ich baza, ośrodek inwazji... W kotlinie panował ruch. Ze wszystkich stron zdążały do stożka pojazdy niknące w białej mgie u jego podstawy. Większość z tych pojazdów miała kształt lejka zakończonego kulistym zbiornikiem. Unosiły się tuż nad powierzchnią,

przelatując od skały do skały jak motyle wśród kwiatów na łące. Dwa z nich rozbijały błękitnym oślepiającym płomieniem ogromny głaz i błyski ich palników widzieliśmy dochodząc do kotliny.

— Co oni robią? — zapytała Gay.

— Oni? To są automaty. One zbierają głazy. Spójrz, jak ten jest blisko.

Rzeczywiście, w odległości najwyżej dwustu metrów przelatywał jeden z automatów. Z lejka szerokim snopem, jak światło reflektora, emitowało jakieś pole siłowe. Głazy wpadające w ten niewidoczny snop podrywały się z podłoża i znikały w gardle lejka. Nagle pojazd zmienił

kierunek i zaczął wznosić się ku nam, bez trudu pokonując spadziste zbocze. Poderwałem się do ucieczki.

— Stój! Nie zdążysz... — Gay zsunęła z ramienia dezintegrator. Mierzyła starannie, lekko przekrzywiwszy głowę.

— W podstawę. Tam muszą być zespoły napędowe — mówiła to z taką pewnością, jakby sama konstruowała ten dziwny pojazd. Strzeliła. Ściągnąłem z ramienia swój dezintegrator, lecz nie zdążyłem go jeszcze odbezpieczyć, gdy pojazd niespodziewanie uniósł się kilkanaście metrów nad skały i skierował wprost na nas swój dziwny lejek. Gay krzyknęła coś, czego nie zrozumiałem. Stała

nieruchomo z wzniesionym dezintegratorem. Nagle wszystko stało się czerwone, jakbym włożył czerwone okulary.

— Uciekaj, uciekaj, Gay — krzyczałem, lecz w słuchawkach słyszałem tylko urywane trzaski, pomimo że stała kilkanaście kroków ode mnie. To wszystko trwało, oczywiście, kilka sekund. Chciałem podbiec do Gay i wyciągnąć ją z zasięgu tego automatu, ale wtedy właśnie zobaczyłem, jak najpierw dezintegrator, a za nim Gay unoszą się nad skały i mkną ku wejściu leja. Nie zdążyłem się nawet zdziwić, gdy sam doznałem uczucia zmiany przyspieszenia, tak jak w ruszającej w dół windzie, i nim się zorientowałem,

leciałem już ku lejowi. — Kierunkowe pole grawitacyjne — pomyślałem i byłem w środku. Lej kończył się ogromnym zbiornikiem i poczułem, że osuwam się gdzieś w głąb. Było tam zupełnie ciemno. Odruchowo, nie zastanawiając się nad tym, zapaliłem lampę w głowicy hełmu. Zobaczyłem Gay. Leżała kilka metrów ode mnie... Równocześnie zobaczyłem kamienie, poukładane równo, tak by zajmowały minimum miejsca. Zrzucano nas na nie. Zerwałem się natychmiast w obawie, że za chwilę posypią się na nas skały wrzucane z leja. Skał jednak nie było.

— Przerwał pracę... — Gay nasłuchiwała rumoru kamieni, ale panowała cisza.

Skinałem głową.

— ...i co gorsza, z naszego powodu...

— Sądziysz? Jeśli tak, to chyba teraz ten automat melduje im o tym, co się stało.

— Tak by zrobił ziemski automat. U nich może być zupełnie inaczej.

— Jak inaczej?

— No, jakieś samodecydujące automaty.

— Niemożliwe.

— A to pole...?

— Pole to co innego. On w ten sposób pracuje. Ale nikt nie wyposaży automatu do zbierania kamieni w sprzężenia samodecydujące...

— Mówisz co najmniej tak, jakbyś

uczestniczyła w konstruowaniu tego automatu...

W tej chwili poczuliśmy wstrząs, ledwo wyczuwalny, delikatny wstrząs.

— Wylądował — powiedziała Gay.

— Chyba tak — skinąłem głową.

— Teraz nas urządzają...

— Mamy dezintegratory.

— Nie sądzę, żeby nam to cokolwiek pomogło — powiedziała to raczej do siebie niż do mnie.

— Spróbujemy się stąd wydostać? — zapytałem.

— Próbować możemy... ale to się nam nie uda.

— Od kiedy zostałeś pesymistką? — próbowałem jakoś rozproszyć ten przygnębiający nastrój „piwnicy” z



kamieniami, jak w myśli określiłem pojazd. — Dawniej widziałaś zawsze wszystko w różowych kolorach...

— Dawniej byłam młodsza... i to było na Ziemi. Chodź chwyciła mnie za rękę — obejdziemy to rumowisko!

Ale kamienie były wszędzie. Wyłaniały się z mroku, gdziekolwiek skierowałem promień latarki.

— Zupełnie jak wtedy na usypisku w Andach. Także wszędzie były kamienie.

— Ale w górze było niebo. A poza tym pospiesz się. Musimy obejść „brzuch” tego automatu.

Dalej szliśmy w milczeniu. Brnąc przez kamienie, zataczaliśmy koło, ale nie bardzo mogłem się zorientować, jaką część obwodu mamy już za sobą.

Nagle stało się zupełnie jasno. Byliśmy w wielkiej hali. Ściany automatu, w którym znajdowaliśmy się dotąd, gdzieś zniknęły. — Widocznie zbiornik automatu jest rozkładany pomyślałem. Spojrzałem w górę. Ta hala w ogóle nie miała sklepienia. To, co było w górze, wyglądało jak mgła, różowa mgła.

— To... to jest wewnątrz stożka... — powiedziała Gay.

I wtedy stało się coś najzupełniej nieoczekiwanego. Kamienie, wszystkie kamienie uniosły się w górę. Oddalały się ku sklepieniu i nagle momentalnie zniknęły. Ale najdziwniejsze było to, że myśmy zostali. Staliśmy zanurzeni po pas w różowawej, opalizującej mgle.

Nie widzieliśmy własnych stóp.

— ...spostregli nas.

— Może automat segregujący odróżnił nas od kamieni...

— Bzdury. To oni... Serg...  
uciekajmy, Serg. — Gay straciła swój dotychczasowy spokój. — ...  
uciekajmy... uciekajmy stąd... —  
powtarzała w kółko.

— Ale dokąd?

— Wszystko jedno — zaczęła oddalać się, brodząc wśród mgły.

— Stój, po co tam idziesz?! — krzyknąłem.

Nie zatrzymała się. Teraz biegła już prawie. Nagle mgła zafalowała. Nie czułem wiatru, ale mgła zafalowała tak, jakby dołem powiał wiatr...

— Gay... Gay! — wołałem.

Mgła zaczęła się podnosić i jej strzępy sięgały mi do piersi. Po chwili widziałem już tylko hełm Gay. Może coś mówiła nawet, ale fale radiowe jej nadajnika nie dochodziły do mnie.

Potem mgła zniecka strzeliła do góry i otoczyła mnie bezpostaciowym różowym oparem. W pewnej chwili zorientowałem się, że na niczym nie stoję. Wiszę w bezgrawitacyjnej przestrzeni, w której kierunek, góra czy dół nie ma w ogóle fizycznego sensu.

Nie wiem, jak długo to trwało. Straciłem rachubę czasu. Podświadomie wykonywałem rękoma i nogami krótkie ruchy, starając się znaleźć jakiś punkt oparcia. Wydawało mi się, że przez

izolację hełmu, przez materiał skafandra słyszę wysoki, zajękliwy dźwięk. Potem dźwięk obniżył się, przeszedł w buczenie. Zamilkł w końcu i równocześnie poczułem pod stopami oparcie... Mgła zaczęła z wolna opadać... Wynurzyły się z niej ogromne kilkumetrowej średnicy kule i wyższe od nich, smuklejsze paraboloidy obrotowe, podobne do ogromnych kielichów. Wydawały się przezroczyste, lecz gdy patrzyłem na którąkolwiek wprost, jakby matowiała... Zdawały się poruszać, falować i dopiero po chwili zrozumiałem, że to przezroczysta substancja gazowa, która została po opadnięciu mgły, łamie światło podobnie jak latem rozgrzane powietrze

nad głazami. To, na czym stałem, było elastyczne, lecz gdy spojrzałem w dół, nie dostrzegłem własnych stóp. Moje nogi „rozmywały się” w okolicy kostek w tym, na czym stałem.

— Chyba znowu jakieś pole siłowe — pomyślałem. Chodzić jednak po tym można zupełnie dobrze. Zrobiłem kilka kroków, potem chciałem podejść do jednej z kul... i nie mogłem. Na pół metra przed kulą zaczynało się pole siłowe, od którego się odbijałem.

Chciałem obejść kulę, gdy nagle spostrzegłem, że kilkanaście metrów ode mnie ktoś stoi. Gay!

Pobiegłem ku niej, ale ona mimo że się nie poruszała, zaczęła odpływać tak, że dystans między nami pozostawał bez

zmian. Nagle zatrzymałem się. Ależ tak, to nie była Gay... to była Wera! Zatrzymała się także... Wtedy spostrzegłem, że jest przezroczysta i poprzez nią widać zarysy stojących w głębi kul i paraboloid... Stałem tak może pół minuty. Ona także się nie ruszała, czekając jakby na mnie. A więc oni chcą mnie w ten sposób dokądś zaprowadzić... A może to pułapka? Nie, gdyby rzeczywiście chcieli, mogliby mnie przecież bez trudu przenieść jakimś polem siłowym... Zdecydowałem się. Poszedłem za Werą. Jej obraz uciekał ode mnie tak długo, aż nagle pomiędzy jedną a drugą kulą zobaczyłem raketkę, prawdziwą ziemską raketkę z otwartym włazem, w którym zniknęła Wera.

Wszedłem za nią i... zobaczyłem Gay.

— Czy ty jesteś Serg? Jak tu wszedłeś? — zapytała. Potem zobaczyłem w jej oczach strach i odsunęła się ode mnie pod ścianę..

— Tak. To ja, Serg. Wszedłem zwyczajnie...

— Odwróciłem się, by pokazać jej włącz, ale za mną była tylko ściana.

— A może ty już umarłeś jak Wera i jesteś tylko obrazem Serga...

— Ależ, Gay, ja żyję... naprawdę żyję... — schwyciłem ją za rękę. — Widzisz przecież, że żyję...

— Żyjesz... A widziałeś Werę? — zapytała nagle.

— Widziałem. Tak, to był jej obraz.

— I prowadziła ciebie wśród kul...



— Prowadziła...

— Ale po co, Serg?... Po co?...

— Nie rozumiem...

— Po co nas tu zamknęli... —

skuliła się w kącie kabiny i zacisnęła powieki...

Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć. Rozejrzałem się po kabinie i spostrzegłem... ekran... Nie był podobny do ziemskich ekranów, ale to musiał być właśnie ekran, bo świeciły w nim gwiazdy.

— Gay! Gay! — szarpnąłem ją za rękaw skafandra. Przez szybę hełmu widziałem, jak wolno uniosła powieki.

— Co się stało? — zapytała po chwili.

— Nie wiem. Jakieś gwiazdy...

— Gwiazdy?

— Tak, w ekranie, spójrz sama, przecież to gwiazdy. — Chwilę patrzyliśmy w ekran. Nagle Gay poderwała się i spostrzegłem jej źrenice rozszerzone przerażeniem. — Serg, a jeśli oni nas wystrzelili...

— Nie rozumiem.

— No, wystrzelili nas w Kosmos.

— Po co? Po co mieliby to zrobić, wytłumacz mi — starałem się mówić spokojnie, ale już także się bałem.

— Skądże mam wiedzieć... a te kamienie... po co zbierali kamienie i przynosili je w różowej mgle...

— Ale nas przecież zostawili...

— Może właśnie po to, by nas wyrzucić w próżnię. Może oni

wszystkich ludzi albo zabijają, albo wyrzucają w próżnię.

— ...

— Wystrzelili nas z Ganimeda jak pocisk, bez możliwości kierowania tym pojazdem.

— Uważasz, że eksperymentują na nas...

— Nie. Oni na pewno w ten właśnie sposób pozbawiają życia istoty swego gatunku. Może ich nie można inaczej zabić...

Nie odpowiedziałem. Jeżeli Gay ma rację... to naprawdę nosimy umrzeć. Żadne obserwatorium nas nie dostrzeże... co najwyżej radar jakiejś przelatującej rakiety. Ale my nie udajemy sygnałów rozpoznawczych,

więc potraktuje nas jak meteor.  
Wyemituje w nas pełny ładunek ze  
swego anihilatora i wyparujemy...

— Wyparujemy, jeżeli...

— Nie — Gay przerwała mi —  
umrzemy tutaj. Tutaj, w tej kabinie.  
Słyszysz?

— Spokojnie, Gay, spokojnie...

— Popatrz — Gay wskazywała na  
ekran. — Oni go skonstruowali  
specjalnie, żebyśmy musieli o tym  
myśleć...

— O czym?

— Że umrzemy.

— Gay!

Zaśmiała się tylko.

— Będziemy umierać i patrzeć na  
gwiazdy...

Wtedy spojrzałem w ekran. Gwiazd w nim nie było, zniknęły z ekranu wyparte potężniejącą z każdą chwilą, dobrze znaną bryłą Ganimeda. Nasz pojazd podchodził do lądowania.

Śledziłem słoneczną plamę przesuającą się wolno po posadzce. Przez otwarte okno słyszałem szum automatu strzygącego trawę w ogrodzie. Na błękitnym prostokącie nieba przesuwały się obłoki gnane zimnym wiatrem od gór. Przy oknie stała Gay... Gay bez skafandra... To była Ziemia, naprawdę Ziemia!

Skończyliśmy właśnie opowiadać i Toren w zamyśleniu pocierał dłonią swe wysokie, łysawe czoło.

— ...i mówicie, że tam była mgła, różowa mgła... a potem kule... — powtarzał.

— A inwazja zlikwidowana? — zdecydowałem się w końcu go zapytać.

— Inwazja? — z roztargnieniem spojrzał na mnie. — Inwazji w ogóle nie było.

— Nie było?

— Oczywiście, to nasz wymysł, następstwo megalomanii naszego gatunku. — Teraz patrzył na Gay. Spostrzegł widocznie, że nic nie rozumie. — Widzicie, to tak, jakby ktoś chciał ogrodzić swoje pole przed szkodnikami. Można po prostu wznieść płot. Ale jeśli ktoś dysponuje odpowiednią techniką i nie chce zabijać,

to... po prostu zakłada siatkę sygnalizacyjną z torusów, wzywającą obłok sterowany. Obłok wynosi to wszystko, co się tylko porusza, poza poletko, poza strefę, która jest strzeżona... To, że torus zabijał... widocznie nie wiedzieli, iż taki właśnie impuls jest dla nas śmiertelny. Pewnie nie przeszło im to nawet przez myśl.

— Więc Warden, Woley, Wera... wszyscy oni żyją?

— Oczywiście, chmura wyrzuciła ich na skały poza pierścieniem torusów.

— A my... co oni z nami zrobili...?

— To możemy tylko przypuszczać. Ich pojazd wystartował. Wystartował prawdopodobnie natychmiast po waszym tam przybyciu...

— Ależ myśmy nic nie czuli. Żadnych przeciążeń, żadnych wstrząsów. Toren uśmiechnął się.

— Oni napędzają swój pojazd polem grawitacyjnym. Wytwarzają to pole przed pojazdem. Wyście razem z całym kosmolotem spadali w tym polu... A ktoś, kto spada, nic nie waży. Problem człowieka w spadającej windzie — uśmiechnął się. — Tak więc nie mogło być mowy o przeciążeniach. Najwyżej mogłeś odczuwać...

— Rzeczywiście odczuwałem nieważkość...

— Widzisz, że mamy rację — ucieszył się Toren. Dostaliście się więc — ciągnął dalej — do automatycznego pojazdu zbierającego paliwo dla ich



agregatów napędowych. Mieliście szczęście. Może oni są jakoś podobni do nas, a może was zauważyli, w każdym razie nie podzieliliście losu kamieni zamienianych w silnikach na energię. Odsegregowali was od kamieni... ale potem mieli trudności z odesłaniem was na księżyc, bo już wystartowali. Zbudowali więc specjalny statek. Zbudowali — sędzę — w ciągu niecałej godziny, przystosowali go do waszych potrzeb, zwabili was do środka obrazem Wery i wystrzelili z powrotem na Ganimeda... Tak, nie chcieli was zniszczyć. Odesłali was, mimo że sami w tym czasie przemierzyli już miliony kilometrów.

— A teraz, gdzie oni są teraz?...

— Gdzieś w próżni międzygwiazdnej... znikli z ekranów najczulszych radarów...

— I nic nam nie zostawili, nic nie przekazali?

— Tylko was. Nic poza tym. Was nie chcieli zabierać. Dostaliście się do ich statku przypadkiem... a oni najpierw nie zauważyli... a potem wysłali was na Ganimeda.

— Jak to, a te mgły... to unoszenie kamieni... obraz Wery...

— To działały ich automaty. Ich technika wyprzedza naszą o setki, może tysiące lat... nikt nie chciał się z wami porozumieć... Rozetniecie, co to znaczy...?

— Nam się zdawało, że oni niczym

innym prócz nas się nie interesują...

— Nie tylko wam — Toren mówił cicho, jakby do siebie. — Myśmy wszyscy tak sądzili. Wymyśliliśmy nawet inwazję i uwierzyli w nią bez zastrzeżeń. Wymyśliliśmy inwazję, bo przez myśl nam nie przeszło, że oni przylecieli do nas tylko po zapas paliwa. Że potraktowali nas jak wróble...

— Nie rozumiem. Dlaczego jak wróble...?

— Czy zatrzymałeś się kiedykolwiek, żeby popatrzeć na wróble? Na pewno nie. Jeśli je nawet czasem spostrzegłeś, to przypadkiem. Są zbyt pospolite, by zwrócić naszą uwagę... i może my właśnie jesteśmy

takimi wróblami w naszej galaktyce...

*Konrad Fiałkowski*

# Strażnik

Odkryłem go w trzeciej godzinie po opuszczeniu bazy. Wyjechałem selenołazem na objazd automatycznych stacji grawimetrycznych. Rozrzucone na obwodzie spłaszczonej elipsy, w ognisku której leżała baza, odwiedzane były raz na tydzień przez kogoś z naszego zespołu. Właściwie tym razem jechać miał Krab, ale czekał na

wideofoniczne połączenie z Ziemią i pojechałem ja.

Obsługa tych stacji była prosta i właściwie mógł ją z powodzeniem wykonywać automat. Podjeżdżało się do zasobnika, wyjmowało z jego wnętrza mały, błyszczący kryształ mnemotronu, zawierający tygodniowy zapis pracy stacji, wkładało nowy, na oko nie różniący się niczym od zapisanego, zamykało zasobnik, pobieżnie sprawdzało zespoły i to było wszystko. Należało jedynie uważać, by nie pomylić mnemotronów i nie nagrać powtórnie zapisu na tym samym kryształ. Zdarzyło się to kiedyś właśnie Krabowi. Przywiózł do bazy nie zapisany kryształ i rozłożyliśmy całą

stację w poszukiwaniu uszkodzenia, zanim wpadliśmy na pomysł, by sprawdzić zapis w pozostałym mnemotronie. Oczywiście, gdyby wymianę mnemotronów przeprowadzał automat, nie pomyliłby się w ten sposób i to był argument. — Nie — powiedział naczelny kosmik bazy, wysłuchawszy nas wtedy — nie zgadzam się na żaden automat. Automat zrobi swoje, ale nie wykaże żadnej elastyczności działania, gdyby się cokolwiek wydarzyło. — Ale co się właściwie może wydarzyć? — pomyślałem wtedy. Naczelny kosmik, jakby przewidując to pytanie, dodał:

— To prawda, że nic się na ogół nie dzieje, ale zawsze jakieś prawdopodobieństwo zdarzeń



niezwykłych istnieje, nieprawdaż? —  
uśmiechnął się.

— Szczałkowe... — powiedział  
Krab.

— Masz rację, szczałkowe, ale  
prawdę mówiąc, co wy tu macie do  
roboty? I tak wszystko prawie robią  
automaty. — Na to nie było odpowiedzi.  
Jeździliśmy więc na zmianę z Krabem, a  
czasem jeździł jeszcze ktoś, kto nie miał  
akurat nic innego do roboty. W końcu  
okazało się, że kierownik miał w  
pewnym sensie rację, bo automat nigdy  
by go nie odkrył. Automat pojechałby  
przecież zwykłą trasą, mimo że trzecia  
stacja została rozbita. Automat nie  
zmodyfikowałby swego postępowania  
tylko z tego powodu, że jakiś meteor

unicestwił stację. Pojechałby tam, wysiadł, zrealizował wbudowany w jego świadomość rozkaz: „Odejdź, jeśli promieniotwórczość” (wszystkie automaty księżycowe mają wbudowany ten rozkaz, rozbicie bowiem stosu przez meteor jest tu przy braku chroniącej warstwy atmosfery dość częste).

Wsiadłby więc z powrotem do selenołazu i pojechał do następnej stacji. I wszystko to powtarzałoby się za każdym objazdem, chyba że byłby to samouczący się automat wysokiej klasy. Ale kto takich automatów używa do kontroli stacji?

Ja zaś wiedząc, że trzecia stacja jest rozbita, wybrałem inną drogę. Ostatecznie specjalnych dróg na

Księżycu nie ma, a księżycowy żwir wszędzie tak samo nadaje się do jazdy. Postanowiłem więc jechać od razu z drugiej stacji do czwartej. Przecinałem w ten sposób elipsę mniej więcej równoległe do małej osi. Duża oszczędność czasu, a przede wszystkim nowa trasa. W końcu nie jest prawdą to, co mówi się na Ziemi, że Księżyc jest lepiej znany na przykład od Himalajów. Może rzeczywiście mapy jego są dokładniejsze. Ale co innego sporządzać mapę z wysokości kilkudziesięciu kilometrów, a co innego przejść przez pył, w którym nie odcisnął się jeszcze nigdy but kosmonauty. Ma to posmak wyprawy w nieznaną, mimo że wystarczy spojrzeć na mapę, by

wiedzieć dokładnie, w którym miejscu się wyjdzie. Przejrzałem mapę i zanim dojechałem do drugiej stacji, wiedziałem, że wystarczy skręcić do niej doliną w lewo, potem przejechać przez dno średniej wielkości krateru, wydrapać się do jednej z przełęczy i już kilka kilometrów za nią ciągnął się zwykły szlak wracający ku czwartej stacji. Wymieniłem więc mnemotron, przejechałem przez niewielki taras, na którym wzniesiono stację, i byłem już na dnie doliny. Zapaliłem reflektory selenożazu, bo chociaż świeciło Słońce i na tarasie było tak jasno, aż bolały oczy, w dolinie panował czarny, prawdziwie kosmiczny mrok. Prawdopodobnie kiedyś, przed wiekami, taras wraz z

dnem doliny zapadł się podczas wstrząsów wulkanicznych, falujących powierzchnię globu i teraz znajdował się kilkadziesiąt metrów poniżej swego dawnego poziomu. Nic jednak nie wskazywało na tę katastrofę sprzed wieków. Dno doliny było równe, kamieni mało, a i to tylko duże, uprzątnięte jakby potężną miotłą pod skalne ściany. Pomyślałem, nie bez zadowolenia, że widocznie już w epoce fałdowań górotwórczych zaplanowano dla mnie tę drogę. Ba, uprzątnięto nawet pył, tak że jechałem po twardej powierzchni skał pumeksowych dość szybko, bo większe kamienie widziałem z daleka; rzucały długie cienie w ostrych światłach selenołazu.

Zobaczyłem go nagle. W pierwszej chwili myślałem, że to głaz o foremnym, prostokątnym kształcie, ale wtedy w środku prostokąta zajarzyło się niewielkie zielone koło.

Równocześnie zabuczał detektor radaru — zostałem oświetlony wiązką fal radarowych, a odbiornik fonii, dostrajający się automatycznie do odbieranej częstotliwości, szczeknął coś krótko. Potem zastanawiałem się niejednokrotnie, co wtedy myślałem, i przyznać muszę, że chyba nie było to raczej nic konstruktywnego, w każdym razie nie było to „analityczne ujęcie zagadnienia”, zalecane przez podręczniki kosmiki w nagłych a nieprzewidzianych wypadkach. Po

prostu podświadomie uznałem prostokątną bryłę za automat i wyskoczyłem z selenożazu, by go z bliska obejrzeć. Przebiegłem może pięć kroków, gdy oślepił mnie błękitny błysk i mono izolacji skafandra poczułem podmuch gorąca. Padłem wśród skał pod ścianę doliny i obejrzałem się za siebie. Mój selenożaz, a właściwie resztki poskręcane go żelastwa, jakie z niego zostały, żarzyły się jeszcze. Wypromieniowując energię przechodziły z koloru czerwonego w wiśniowy, coraz ciemniejszy, aż wreszcie stały się tak czarne, jak otaczające je kamienie i ściany kotliny. Wtedy przestałem je widzieć.

W ogóle nie widziałem niczego,

pograżony w czerni dna doliny. Tylko w górze płonęły oślepiająco jasne krawędzie kotliny, tak jasne, że gasły przy nich gwiazdy niewidzialne dla zwięzających się źrenic.

Dopiero teraz, gdy już leżałem za kamieniem, zacząłem się bać. Chciałem się zerwać i uciekać, uciekać z powrotem jak najszybciej w kierunku bazy, donieść im o inwazji. Bo że to była inwazja, nie wątpiłem ani przez chwilę. Przecież żadne ziemskie automaty nigdy nie atakują. Nigdy!!! To jest pierwsze fundamentalne założenie ich pseudopsychiki.

A może, gdy wrócę, nie będzie już bazy, nie będzie niczego, tylko wielki krater wypełniony szklistą stygnącą



masą przechodzącą z czerwieni w podczerwień... A nad tym kraterem stać będą „prostokąty”, nieruchome z płonącym zielonym kołem pośrodku.

Chciałem uciekać, lecz wtedy gdzieś z podświadomości wypłynęło pierwsze przykazanie Mopsa (tak nazywaliśmy naszego profesora), który przy semestralnym egzaminie z kosmiki nieodmiennie pytał pierwszoroczników, co by zrobili, gdyby nagle w próżni w ich kabinie pojawił się kosmiczny przybysz w kształcie żłocistej promieniującej kuli. Zazwyczaj zapytany pierwszorocznik, który nie zdążył jeszcze zasięgnąć języka na giełdzie, proponował nieprawdopodobne rozwiązania,

obracające się wokół wyrzucenia siebie lub gościa z rakiety, wtedy Mops uśmiechał się pobłaźliwie.

— Czy nie sądzisz, że właściwą rzeczą byłoby najpierw pomyśleć? — pytał delikwenta.

Więc chyba wtedy, gdy leżałem między tymi głazami na dnie księżycowej doliny, przyszło mi na myśl pytanie Mopsa.

A gdy człowiek nakazuje sobie myślenie, strach znika, a raczej chowa się w podświadomości i wtedy można już myśleć. A więc co się właściwie stało? Selenoładz zbliżył się do „prostokąta”, od tego wszystko się zaczęło. Wtedy „prostokąt” stał się aktywny. Zapalił zielone koło, oświetlił

pojazd radarem i zniszczył go. Ale zaraz, coś tu się nie zgadza. Zanim przecież wystrzelił swój promienisty ładunek, na kilka sekund przedtem, bo w tym czasie zdążyłem otworzyć klapę i przebiec kilka metrów, rzucił jakieś wezwanie na fonii. Po co?

To było co najmniej niejasne. Może pytał o coś. Ale o cóż mógł pytać w nieznanym języku? Czego chciał się dowiedzieć ode mnie, pilota zniszczonego w chwilę potem selenołazu? Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie, ale przynajmniej byłem już teraz zupełnie spokojny. Musiałem się stąd wydostać, zawiadomić bazę, a jeśli baza jest zniszczona Ziemię. Tak, to było jasno

sformułowane zadanie. Co więc się stanie, gdy wstanę i zacznę uciekać? Prawdopodobnie „prostokąt” oświetli mnie radarem, zapyta o coś albo nie zapyta, a następnie zniszczy. Nie, nie mogłem ryzykować. Mogłem jeszcze wzywać pomocy. Radio nie wchodziło w rachubę. Fale jego rozchodzą się prostoliniowo, nie dotrą więc do bazy z tej doliny o pionowych ścianach, nadajnik jest zbyt słaby, żeby jego sygnał został odebrany z automatycznych satelitów okrążających Księżyc. Została rakieta. Wystrzelę raketę. Z samej bazy nikt jej nie dostrzeże. Baza leży daleko, za bliskim księżycowym horyzontem. Chyba że ktoś przypadkowo, ale na to nie ma co liczyć.

Nie pozostaje więc nic innego... Ależ nie, jakież ze mnie idiota, że od razu na to nie wpadłem. Przecież mam naboje „radarowe”. Normalnie wystrzeliwuje się je w górę, gdzie pękają, rozsiewając w próżni drobne kryształki. Od chmury takich kryształków fale radaru odbijają się na ekranach odbiorników, powstaje mała plamka. Dyżurny czuwający przy odbiorniku melduje:

— W sektorze... obiekt nieznanego pochodzenia. Identyfikacja obiektu jest jednoznaczna z odnalezieniem rozbitka.

— Tym razem jednak wystarczy wystrzelić nabój tu w dolinie, żeby... „prostokąt” oślepl. Bo to przecież jasne, że nacelowuje on swój miotacz na ruchomy obiekt według namiarów

radarowych.

Wyjąłem więc raketnicę, załadowałem wyjęty ze specjalnej przegrody torby „radarowy nabój” i nagle spostrzegłem, że w dolinie robi się coraz jaśniej. Pomyślałem, że to może jakaś rakietka ogniem swych gazów wylotowych oświeca głazy. Spojrzałem w górę. Niestety, to tylko Ziemia krawędzią swej tarczy wschodziła zza otaczających dolinę skał.

Skierowałem raketnicę wprost w skały, tam gdzie stał „prostokąt”. Wybuch, jak wszystko na Księżycu, był bezgłośny. Ze skał powstała biała chmura. Momentalnie wypełniła dolinę i wzniosła się setki metrów ponad jej krawędź jakby potężna erupcja

księżycowego gejzeru. Podniosłem się i zacząłem biec kotliną z powrotem. Początkowo chmura była tak gęsta, że czułem się jak we mgle. Wpadałem na kamienie lub trafiałem wprost na ściany doliny. Tak było do zakrętu. Minąłem zakręt i dojrzałem przeświecającą przez biały opar tarczę Ziemi. Od wystrzału minęły najwyżej dwie minuty, ale mgła już zdążyła się przerzedzić, opadała bowiem na Księżycu równie szybko jak rzucony w górę kamień. Dalej było już zupełnie widno, tak że mogłem swobodnie biec. Był to szybki, księżycowy bieg, którego nie hamuje powietrze, a każdy krok jest ponad dziesięciometrowym skokiem. W każdym razie drogę powrotną przebyłem

szybciej niż przedtem selenołazem i już po kilku minutach wzywałem z drugiej stacji bazę. Czekałem na jej sygnał bojąc się równocześnie, że go nie usłyszę. Ale nadszedł jak zwykle czysty, wyraźny, bez zakłóceń.

— Praktykant Rob do naczelnego kosmika bazy. Pilne! — powiedziałem do mikrofonu.

Dyżurny automat potwierdził odbiór i teraz czekałem. — Naczelny kosmik. Słucham... — odezwał się po chwili głośnik.

— Praktykant Rob melduje, że odkrył automat niszczący...

— O czym ty mówisz?

— Ten automat zniszczył mój selenołaz... i mnie prawie też...



Tam po drugiej stronie kosmik milczał chwilę.

— Skąd mówisz? — zapytał wreszcie krótko. — Z drugiej stacji.

— Czy dobrze się czujesz?

— Tak... nie zdołał mnie trafić.

— Ja się pytam, czy w ogóle dobrze się czujesz?

To mnie dotknęło. Co on sobie właściwie wyobraża?

— Jak najlepiej — powiedziałem.

— Składam formalny raport i proszę zapamiętać to u automatu dyżurnego.

— Dobrze już, dobrze... — powiedział kosmik. — Nie masz się czego obrażać. Zaraz przylecimy rakieta do drugiej stacji i zobaczymy, co tam jest naprawdę.

Rzeczywiście, nie upłynęło dziesięć minut, jak wylądowali. Naczelny kosmik, Krab i Uten — neuronik. Poza tym przywieźli dwa androidy.

Gdy opowiadałem, Krab patrzył na mnie z podziwem. Uten uśmiechał się z niedowierzaniem, a twarz kosmika nie wyrażała nic, podobnie jak „twarze” androidów.

— A gdzie jest twój selenołaz? — zapytał Uten.

— Stoi w głębi tej doliny.

— Chodźmy więc do niego.

— On stoi w zasięgu „prostokąta”.

Tam nie można podejść...

— Sami zobaczymy — powiedział Uten. — Idziemy? — zwrócił się z pytaniem do kosmika.

— Nie będziemy ryzykować. Co tam jest, trudno powiedzieć, ale w każdym razie nie będziemy ryzykować. Pójdą androidy, a my będziemy je obserwować z rakiety. — Uten wzruszył ramionami. Nic nie odpowiedział, ale widać było, że nie wierzy w żadne „prostokąty”. Uważał się za znawcę Srebrnego Globu i nie mógł sobie wyobrazić, że byle praktykant może odkryć tu coś, co by jemu nie było znane. Wsiedliśmy jednak do rakiety i wystartowali w górę, podczas gdy androidy ruszyły doliną.

— To tu — powiedziałem. — Rzućmy flarę.

— Androidy jeszcze nie doszły. Rzucimy, gdy będą już blisko —

powiedział kosmik.

Wisieliśmy więc nad doliną. Raketka wyrzucała z dysz czerwony płomień. Jej ciąg równoważył księżycową grawitację.

— Już są — powiedział Uten patrząc w ekran radaru. O... — dodał, bo nagle na ekranie zjawił się obcy sygnał. — Flarę — zarządził kosmik.

Krab nacisną dźwignię i biały płomień zaczął spadać na dno doliny. Nie doleciał nawet do połowy drogi, gdy na dole błysnęło i błękitny piorun, jaśniejszy od flary, oświetlił każdy kamień, każde załamanie ścian doliny. Jeden sygnał radarowy zgasł — jeden z androidów przestał istnieć; przestały istnieć również jego radarowe oczy.

Drugi, wyraźnie teraz widoczny w blasku flary, posłuszny swemu sprzężeniu samozachowawczemu, próbował się wycofać. Nie zdążył. Drugi błysk... i rozżarzony na chwilę stał się także stertą nadpalonego złomu.

— No, Uten, ty nawet byś się nie zarzył — powiedział Krab.

Uten nie odrywał wzroku od ekranu.

— Tak, to chyba inwazja — powiedział cicho.

Kosmik tymczasem łączył się przez bazę z Ziemią. Potem relacjonował komuś z ziemskiego Instytutu Kosmiki przebieg zjawiska. Słuchałem krótkich zdań, a jednak nie bardzo wiedziałem, o czym mówią. Głowa mi ciążyła i miałem mdłości. Pamiętam jeszcze, że gdy

kosmik skończył mówić z Ziemią, zapytał go Uten:

— Dlaczego nie wspomniałeś nic o inwazji?

— Bo inwazji nie przeprowadza się jednym automatem w bezludnej księżycowej dolinie.

— Więc co to jest? — Kosmik uśmiechnął się.

— Gdybym wiedział, niepotrzebni byliby ci wszyscy specjaliści, którzy tu przylecą.

— Ja... — chciałem powiedzieć, że ja także myślałem o inwazji, ale zakręciło mi się w głowie i plecami oparłem się o pulpit rozrządu. Krab mnie przytrzymał.

— Co ci jest? — zapytał.

— Nic, kręci mi się tylko w głowie... — chciałem jeszcze coś dodać, ale następnym moim wspomnieniem jest dopiero biały kitel naszego lekarza z bazy.

Miałem chorobę popromienną. Podobno stałem za blisko strumienia energii, który zniszczył selenołąz, i dostałem jakąś końską dawkę. Większość jej zatrzymał wprawdzie mój skafander, ale to, co przeszło przez moje ciało, wystarczyło, by mnie zapakować do łóżka. Solem, lekarz naszej bazy, zachwycony, że wreszcie ma pacjenta, odwiedzał mnie osiem raty dziennie i głównie jego staraniom zawdzięczam, że zostałem w bazie i nie wróciłem

pierwszą rakieta na Ziemię. On też przynosił mi najnowsze wiadomości.

— Wiesz, Rob, wylecieli dwie godziny temu, by przywieźć ten „prostokąt” do bazy — wpadł do mnie podniecony.

— Jak to, chcą rozbić bazę?

— Nie, oczywiście, że nie. Zabierają się do niego w jakiś przemyślny sposób. Wygaszają mu fale... czy coś takiego.

— To się nie zawsze udaje...

— Nie martw się. Już oni się do tego dobrze przygotowali. Przyleciała grupa kilkunastu specjalistów z Ziemi. Mówię ci, ruch w bazie jak na kosmodworcu. Są też jacyś dziennikarze z wideotronii. Chcieli ciebie zobaczyć, ale posłałem



ich do wszystkich kosmicznych diabłów.

— To ja jestem tak ciężko chory?

— Ależ nic podobnego, gdyby tak było, poleciałbyś od razu na Ziemię. Nie możesz myśleć w ten sposób, to fatalnie przedłuża rekonwalescencję.

— No, właściwie ja się czuję zupełnie dobrze...

— A widzisz. Ja też twierdziłem cały czas, że nic ci nie jest, wbrew jakiejś sławie medycznej z Ziemi, która odbywała tu ze mną telekonsylium.

— Genialnie zrobiłeś, Solem, żeś mnie tu zatrzymał. W jakimś sanatorium na Ziemi dowiadywałbym się wszystkiego dopiero z teledzienników i nie mógłbym być obecny chociażby przy dzisiejszym badaniu „prostokąta”. Nie

darowałbym sobie tego do końca życia.

Przy ostatnich słowach Solem zaczął się niespokojnie wiercić.

— No wiesz, chyba cię nie będę mógł jeszcze puścić do tego „prostokąta”.

— Czyżby ze mną było aż tak źle? — udałem przestrah.

— No nie, ale...

— Solem, nie strasz mnie niepotrzebnie. Sam powiedziałaś...

— ...

— Zresztą, Solem, i tak wiesz, że tam pójdę, więc o co chodzi.

„Prostokąt” przywieźli pół godziny później. Staliśmy wszyscy w centralnej sali bazy, gdy nadeszli najpierw

specjaliści w ciężkich przeciwpromiennych skafandrach, a za nimi automaty dźwigające „prostokąt”. Oczywiście to nie był prostokąt, lecz potężny prostopadłościan z wystającymi czułkami anten... Automaty złożyły go ostrożnie na posadzce i odstąpiły na boki pod naporem ludzi... Potężny metalowy blok leżał nieruchomy, pozbawiony wyrzutni promienistych, które poprzednio wymontowały już automaty...

Ci, którzy przyszli, zdejmowali skafandry i przybierali znowu zwykłe, ludzkie kształty. Tuż, może dwa kroki przed sobą, dostrzegłem człowieka, którego już gdzieś widziałem.

Zrzucił skafander, przyglądał swoją

rozczochną rudą brodę i podniósł rękę, chcąc uciszyć gwar.

— Mam dla was pierwszą wiadomość — powiedział donośnym głosem. — Ten automat jest ziemskiego pochodzenia. Tym samym upada atrakcyjna hipoteza... inwazji — spojrzał w stronę reporterów wideotronii, z których większość nadawała komunikaty na Ziemię. Ależ tak, nie mogłem się mylić, to był Torboran, najbardziej znany historyk neuroniki.

— Pochodzi on — ciągnął — sprzed mniej więcej pięciuset lat, to znaczy z okresu pierwszych wypraw na Księżyc. Poza tym mogę was zapewnić, że nie jest to automat produkowany seryjnie.

Jest to pojedynczy egzemplarz skonstruowany do celów specjalnych... Ostatecznie niszczenie wszystkiego, co się rusza po powierzchni Księżyca, nawet w tych wiekach, nie było codzienną rolą automatów. A teraz twoja kolej, profesorze Woe — zwrócił się do małego, niepozornego człowieczka, który właśnie wydobywał się ze zbyt wielkiego dlań skafandra.

— Szanowny kolega już mnie przedstawił, ja muszę dodać, że jestem lingwistą, profesorem wymarłych języków ery wczesnoatomowej. Wiecie chyba z historii, że zanim trzysta lat temu wprowadzono na całej Ziemi normalny język, różne narody mówiły różnymi językami, tymi, które teraz jeszcze

czasem słyszy się w dawnych pieśniach. — Przerwał na chwilę, a ponieważ w ogóle mówił cicho, niełatwo go było zrozumieć. — Żeby was już dłużej nie męczyć, powiem tylko, iż słowo, które nadawał ten automat, było żądaniem hasła w jednym z tych języków. Automat czekał chwilę na odpowiedź, a następnie, gdy nie nadchodziła, emitował wiązkę energii...

— Wcale zresztą pokazać jak na owe czasy... — uzupełnił jeden z tych, którzy wrócili.

— Wiązkę energii niszczącą tego, kto nie znał hasła — profesor Woe umilkł.

— To już wyraźnie wskazuje na rolę tego automatu — zagrzemiał znowu

Torboran. — Pełnił on pewną funkcję logiczną. Dzielił bowiem zbiór wszystkich poruszających się w jego zasięgu układów na dwa podzbiory: na podzbiór, którego elementy podawały hasło, i podzbiór, którego elementy tego nie czyniły, to znaczy prawdopodobnie hasła nie znały. Elementy tego drugiego podzbioru należało niszczyć i tu zaczynała się druga, wykonawcza funkcja automatu. Tyle wiedzieliśmy po wstępnych badaniach. Wniosek, jaki się nasuwa, jest zresztą zupełnie oczywisty. Ten automat pełnił rolę strażnika, był po prostu strażnikiem. Ale strażnik musi przecież czegoś strzec, jeśli jego zachowanie ma być logicznie uzasadnione. To coś musiało być dla

twórców strażnika bardzo cenne, skoro zdecydowali się skonstruować tak skomplikowany, jak na owe czasy, automat. A to pozostawało dla nas zagadką, automat bowiem nic takiego nie posiadał. W tym miejscu należy skłonić głowę przed profesorem Woe...

— Ależ, profesorze Torboran, na to wpadłby każdy. Mnie po prostu wcześniej się udało....

— Nadmierna skromność, drogi lingwisto. Mnie by to przez myśl nigdy nie przeszło. Ówczesne automaty były tak prymitywne, że podobne rozwiązanie byłoby dla mnie nie do przyjęcia... ..ile okazało się, że profesor Woe miał rację. Chodziło o znalezienie tego hasła. To ostatecznie dla współczesnych



automatów nie takie trudne. Po prostu przejrzały prymitywną pamięć strażnika i odkryły właściwe słowo... Potem nadaliśmy to słowo jako odpowiedź na wezwanie (wezwanie to powtarzał raz po raz, a potem kierował na nas miotacze, których już nie było). Więc gdy nadaliśmy to słowo, on wyemitował jakiś sygnał i nagle coś w głębi doliny błysnęło. Myśleliśmy, że to nowe miotacze... Wysłaliśmy więc androidy, ale to był tylko wybuch, wybuch, który odsłonił wejście do skalnej grotty... A tam, jak zawsze w tajemniczych grotach, znaleźliśmy skarb — Torboran zaśmiał się głośno. — Dość zabawny skarb, szczególnie jak na nasze czasy... Wyobraźcie sobie — zawiesił głos

dziesiątki stalowych butli napełnionych tlenem.

— I to już cały skarb? — spytał zawiedziony jakiś młody dziennikarz o białych prawie włosach.

Torboran nagle spoważniał.

— A ty, młody człowieku, coś myślał, że znajdziemy złoto czy kosztowności ukryte przez pierwszych kosmonautów?...

— No nie, ale...

— Ale byłbyś mniej zdziwiony, gdyby to było złoto. Bo cóż to w końcu tlen? Masz go pod ręką, ile chcesz, Możesz nim oddychać pod ciśnieniem atmosferycznym lub sztucznie zwiększonym, możesz go zmieniać w ozon lub spalać w płomieniu. Bo

przecież są regeneratory... a poza tym można go przywieźć z Ziemi, ile kto chce. Czyż nie? Ale widzisz, pięćset lat temu, w czasach, z których pochodzi strażnik, kosmonauci umierali na Księżycu, gdy zabrakło tlenu... Umierali najczęściej właśnie dlatego. A tu, pomyśl, taki skład i dziesiątki butli. Czy to nie był skarb?

— Tlen, rozumiem. Ale w takim razie po co strażnik? — zapytał znowu ten sam blondyn.

— Tak, ty tego nie pojmujesz i to w ogóle jest dla nas trudne do zrozumienia. Oni ukrywali ten tlen wzajemnie przed sobą.

— Jak to? Kosmonauci przed innymi kosmonautami?

— Tak.

— I nie daliby tego tlenu, nawet gdyby inni umierali?

— No nie, tu chodziło o cały skład. Należał do jednej grupy i tylko ci mogli nim dysponować. Ci znali hasło...

— A inni?

— Inni hasła nie znali.

— I tych strażnik miał zniszczyć?

— Tak. Gdyby chcieli zabrać tlen dla siebie.

— ...

— Nie, nigdy nie zniszczył nikogo. Dopiero selenożaz Roba. Miał ograniczony ładunek energii promienistej. Mogliśmy obliczyć, ile jej zawierał pierwotnie.

— Więc tamci nie znaleźli go, nie

trafili po śladach? Przecież ślad raz odciśnięty w księżycowym pyłe trwa wieki...

— Tam pyłu nie było, tylko same skały. A może oni nigdy nie szukali tego składu...

— A ci, co zbudowali strażnika?

Torboran wzruszył ramionami.

— W tych okolicach lądowały różne wyprawy. Niektóre z nich nie wróciły... Jedna z nich ukryła zapewne zapas tlenu i postawiła strażnika...

— Dziwne to były czasy i dziwni ludzie — powiedział blondyn.

— Może i dziwni — Torboran mówił teraz cicho — ale dzięki nim jesteśmy dzisiaj na Księżycu... i nie tylko na Księżycu...

Spojrzał na obalony  
prostopadłościan strażnika, wziął swój  
skafander i wyszedł z sali.